

Biblioteka Publiczna
miasta tarnobrzegskiego
N
CZ

Dynkusja



1
9
9
1



kwartalnik ↓ wojewódzkiego
Ośrodka Animacji Kultury
w Białymstoku Nr 4/27/91

nr. indeksu 293282



Dyskusja

K W A R T A L N I K

Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury w BIAŁYMSTOKU

Polacy na Kresach i dalej...

W N U M E R Z E:

Zbigniew Waydyk

— Fraszki

Alina Lassota

— Wyznanie

Waldemar Smaszcz

— Stał dwór szlachecki...

Jan Koziez

— Tu mieszkał Adam

Jan Leończuk

— Głos Polski z Ukrainy

Zbigniew Opacki

— Kościół katolicki a diaspora Polaków w Sowietach

Jan Leończuk

— Zapisane w Mołczanach

Józefa Sawicka

— Dzieje kościoła w Mołczanach

Alina Lassota

— x x x

Barbara Noworolska

— Kultura Wilna w okresie międzywojennym

Alina Lassota

— Spacer po Wilnie

Krystyna Konecka

— Z wileńskiej prywatności

Elżbieta Feliksiak

— Grodno

Violetta Wejs-Milewska

— Stereotyp Polaka i Litwina
w obustronnych świadectwach literatury i życia

Kazimierz Maksymilian Derkowski

— Z mojego kalendarza

FRASZKI

Zysk przez tradycję

Za kresowe męstwo, za kresowe szarżę
Jeszcze dziś niemałe pobieramy marżę

Pamięć, która mocą jest

Oto najpotężniejsze pamięci naszej spiżę
Lwowskich Orląt Cmenatrz Wilna Trzy Krzyżę

Pamięci straż

Pamięć na wieki zachowa
Syndrom bohaterski i Wilna i Lwowa

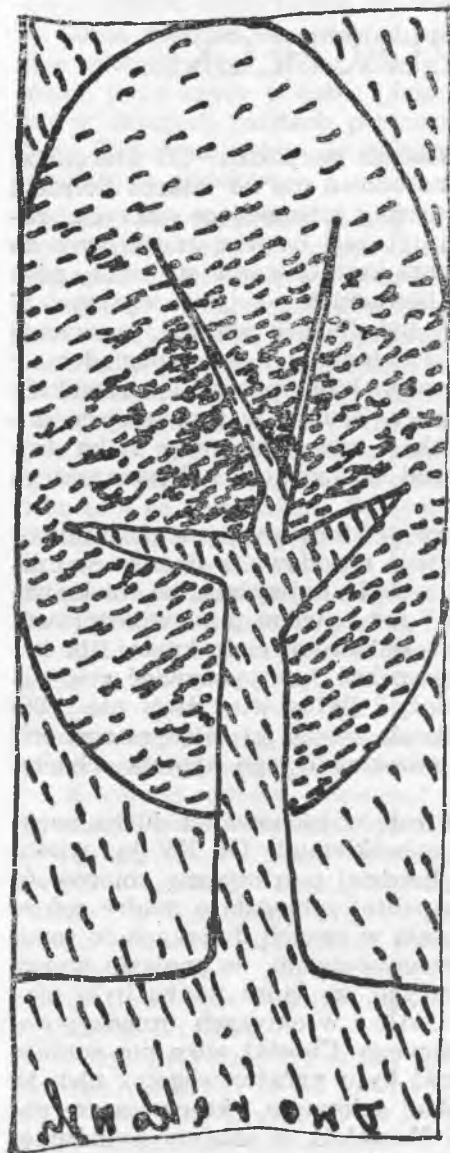
Zwierciadło czasów

W sto mozaik obraz Kresów się przetwarza
Exemplum: Zofii Chrzanowskiej Trembowla
Kontury płonące Zbaraża

Jakich modlitw trzeba...

Jak prosić Moc Niebieską,
By Kresy nie były pod kreską?

Zbigniew Waydyk



WYZNANIE

— Domie mój, stary w cieniu lip,
— Tyś, co odmierzasz życia chwile,
ozlaczasz co dnia meble stare,
promieniem słońca wschodzącego.
Wieczorem rzucasz plachtę cienia
na twarze bliskie i dalekie,
te, co na ścianach i w albumach
zamykasz w jednym kręgu myśli...
— Tyś, jak nikt inny, wiesz najlepiej
o moich smutkach, niepokojach.
chowasz na dnie szuflady szafy,
dawne marzenia — niespełnione...
— Wyznając Ci najskrytsze myśli
szukam nadziei w Twoim świetle...
Mówię Ci o tych, co kochali
i o tych, co mnie dziś zawiedli...
— A kiedy Cię zostawiam znowu
na dni, na kilka godzin może
Ważne, że jesteś i że szumisz
prastarym klonem
W Czarnym Borze.

1989

Alina Lassota

Polacy na Kresach i dalej...

STAŁ DWÓR SZLACHECKI...

Jan Lechoń w swoich słynnych wykładach paryskich „O literaturze polskiej” zauważył, iż nasza mitologia narodowa ma na wskroś literacki charakter. Jest to — jak sądzę — niezmiernie interesujące odkrycie, zasługujące na wnikliwą refleksję. W tej sytuacji bowiem mielibyśmy do czynienia z zupełnie odmiennym procesem kształtowania się mitu, gdyż — jak czytamy w Słowniku terminów literackich — „mit występował pierwotnie w formie ustnej, zapisywany był dopiero wtórnie, zazwyczaj wtedy, gdy tracił bezpośrednią więź z wierzeniami i światopoglądem...” U nas zaś właśnie literatura kreowała mity, które następnie przenikały do świadomości zbiorowej i ją kształtowały. Trudno w tym miejscu dokonać szczegółowej analizy tego zjawiska, wymienię więc tylko najbardziej wyraziste przykłady, jak Konrad Mickiewicza i Wyspiańskiego oraz Anhelli Słowackiego.

Jednym z naszych mitów, utraconych w literaturze, jest polski dworek, w którym znalazła schronienie tradycja narodowa, zwłaszcza w czasach niewoli. I w tym przypadku mit zyskał najwyższą, bo mickiewiczowską sankcję. Autor „Pana Tadeusza” tak bowiem pisał w rozprawie „O duchu narodowym”: „Jak w chorym osłabionym ciele krew i siła żywota zgromadza się koło serca — tam jej szukać, tam ją ożywiać, stamtąd ją na całe ciało znowu rozprowadzać należy.” Byłby więc dwór nie tylko ważnym elementem narodowej mitologii, ale wręcz jej bijącym sercem? Jeżeli się na to zgodzimy, nie możemy pozostawić tego pytania choćby bez próby odpowiedzi.

Czy można się dziwić, że tak wielką rolę w zachowaniu ducha narodowego wyznaczył poeta dworskowi szlacheckiemu? Od XV już wieku średnia i drobna szlachta stanowiła najbardziej patriotyczną zbiorowość która w czasach Najjaśniejszej Rzeczypospolitej zabiegała o mądre reformy, a po nastaniu epoki niewoli zachowała w swoich dworkach tę samą wolę trawnia na przekór wszystkim przeciwnościom, co znalazło wyraz w niezłomnych zrywach niepodległościowych, za które trzeba było płacić coraz bardziej tragiczną daninę krwi. Ale i w okresach międzypowstaniowych nie słabło tętno życia narodowego. Chociaż więc nie istniała Polska, polskie dworki zachowały ciągłość bytu państwowego; z nich to pochodził zarówno Naczelnik w chłopskiej sukmanie, który jeszcze reprezentował polską niepodległość, jak i Naczelnik w szarym mundurze, który tę niepodległość wskrzesił po ponad wiekowej niewoli.

Dworek szlachecki był budowlą wyrazistą, wznoszoną według starych zasad architektonicznych, z których najważniejsze było położenie „na godzinę jedenastą” (tzn. ustawienie frontem tak, by o tej właśnie porze słońce oświetlało główne pomieszczenia, a to gwarantowało nasłonecznienie wszystkich pokoi o różnej porze) oraz oczywiście, ganek z kolumnami zwieńczonymi trójkątem. Nie trzeba jednak sięgać do specjalistycznych

książek, by się o budowie dworku dowiedzieć. Wszyscy bowiem mamy w pamięci pierwsze partie „Pana Tadeusza”:

*Sród takich pół przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;
Świeciły się z daleka pobielane ściany,
Tym bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.*

Istota dworku zasadzała się nie w owym charakterystycznym wyglądzie zewnętrznym, który należy uznać jedynie za znak tych wszystkich treści, jakie kryły w sobie „ściany starodawne”. I o nich właśnie czytamy w dalszych partiach poematu, gdy autor ukazuje ogromne przywiązanie Tadeusza, który „w dalekim mieście kończył nauki” do dawno nie oglądanych widoków:

*Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne
Ogląda czule jako swe znajome dawne
Też same widzi sprzęty, też same obicia,
Z którymi się zabawiać lubił od powicia;
Lecz mniej wielkie, mniej piękne niż się dawniej zdaly.
I też same portrety na ścianach wisiały.
Tu Kościuszko w czamarcie krakowskiej z oczyma
Podniesionymi w niebo, miecz oburącz trzyma;
Takim był gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,
Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów,
Albo sam na nim padnie. Dalej w polskiej szacie
Siedzi Rejtan żaloszny po ojczyzny starcie,
W rękę trzyma nóż ostrzem zwrócony do łona,
A przed nim leży Fedon i żywot Katona.
Dalej Jasiński młodzian piękny i posepny;
Obok Korsak towarzysz jego nieodstępny
Stoją na szańcach Pragi, na stosach Moskali
Siekąc wrogów a Praga już się wkoło pali.
Nawet stary stojący zegar kurantowy
w drewnianej szafie poznał, u wniścia alkowy;
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego posłyszeć mazurek.*

Już pierwsze wiersze wskazują na najważniejszą bodaj cechę życia dworu — trwanie. Ściany nie mają określonego wieku, one są „starodawne”, a więc jakby były od „zawsze”, bez początku i końca. Stąd zarówno wiekowi mieszkańcy dworku, jak i bardzo młodzi uważają je za „znajome dawne”, gdyż wszyscy znają je „od powicia”. Tadeusz, chociaż „domu dawno nie widział”, zastał go takim samym, jakim pożegnał przed wyjazdem do szkół.

Warto przyjrzeć się bliżej galerii portretów wiszących na ścianach, również obecnych tu od dawna. Nie są to — jak można by było oczekiwać — portrety przodków (te wypełniały magnackie siedziby), a narodowych bohaterów: Kościuszko, Rejtan, Jasiński... Jeszcze po latach wspomniany tu na wstępie Jan Lechoń pisał w „Dzienniku” jakby potwierdzając tę sytuację: „... nie pamiętam czasów, gdy nic nie wiedział o Kościuszcze, księżcu Józefie, Napoleonie”. Pierwsze doznania dziecka były więc związane z tymi świętościami narodowej historii, które obecne we dworze na prawach jakichś niezwykłych domowników, stapiały się wraz z wątkiem rodzinnym w jedną wielką tradycję.

Nie trudno zauważyć, że wewnątrz sopolcowskiego dworu poznajemy z nieco innej perspektywy niż jego zewnętrzny wygląd i otoczenie. Gdy tam dominował autorski opis, tutaj — emocje młodego bohatera, dla którego jest „stary” nawet mazurek Dąbrowskiego, chociaż — jak łatwo policzyć od powstania „Pieśni legionów” minęło zaledwie czternaście lat; ale przecież samTadeusz ma niewiele więcej.

Mickiewiczowska wizja dworku w dalszych partiach „Pana Tadeusza” jeszcze bardziej się wypełnia, by w pewnym momencie z ogromnieć do wymiarów sacrum. Mam na myśli scenę z siódmej księgi, gdy Prusak „śmiał podjąć się Sędziego obrony” i wypowiedział tylekroć cytowany później dwuwiersz:

*Ilekroć z Prus powracam, chcąc zmyć się z niemczyzny
Wpadam do Sopolcowa, jak w centrum polszczyzny;*

Teraz już nie mamy wątpliwości, że Sopolcowo nie jest li tylko jednym z dworków, ale centralnym punktem systemu porządkującego świat. Dzięki bliskiemu kontaktowi zarówno z tradycją narodową i nieskażoną prawdą, kształtuje się pełny człowiek, wrażliwy na drugiego człowieka i cały otaczający go świat:

*Ten kraj szczęśliwy ubogi i ciasny!
Jak świat jest boży tak on był nasz własny,
Jakże tam wszystko do nas należało,
Jak pomnim wszystko co nas otaczało
Od lipy, która koroną wspaniałą
Całej wsi dzieciom użyczała cienia
Aż do każdego strumienia kamienia
Jak każdy kątek ziemi był znajomy
Aż po granicę, po sąsiadów domy.*

Człowiek żyjący w tej krainie nie wiedział co to lęk, bo lęk to nieznanne, Gdy zaś wszystko potrafiłmy nazwać, nie musimy się niczego obawiać. Nawet jeżeli pojawiły się w tym raju burze, to również one nie powodowały spustoszenia, a tylko niewielkie szkody, które można było bez trudu naprawić.

Odtąd taki właśnie obraz dworku wejdzie na stałe zarówno do literatury, jak i zbiorowej świadomości. To nic, że rzeczywistość często była zgoła odmienna, „poezja to ożłociła”. Trudno więc się dziwić, że nawet Stefan Żeromski, pisarz nie stroniący od naturalistycznych wizji, zaczął od takiego właśnie zapisu swego rodzinnego gniazda: „Wieczorem wyszedłem. Jest już księżyc, którego tak bardzo pragnąłem. Słońce zaszło już dawno. Księżyc kąpie się w wodzie. Kontury dworku naszego tak się cudownie, otulone w lip ramiona, od zachodniego dworku odbijały, że go nie poznał. Uczułem, jak bardzo miejsce to kocham, uczułem, że miłość do tego gniazda mojego jest niezmierną. Modrzew, mój kochany modrzew, przedmiot moich zachwyty, kołysał się tak poważnie, staw, w którym łagodnie, siwo zarysowana odbija się Łysica, ujęty w ramiona tatarakowych zarośli, na którym stare wierzy i olbrzymie olchy w niebo strzelają, był tak cichy, kiedy niekiedy pletwą ryby trącony, że zdał mi się jedną srebrną bryłą, zwierciadłem odbijającym cuda natury. Dworek nasz biały odbijał się w tym zwierciadle całkowicie z swym gankiem, tak prześlicznie dzikim obrośnięty winem, z swymi błyszczącymi oknami, z lipami, modrzewiem, wierzbami i gruszą...”) Uczułem, że Bóg jest wokół mnie.”

Te prawie jeszcze dziecięce wzruszenia zapisały się na trwałe w pamięci pisarza, który później obdarzał nimi swoich bohaterów. Podobnie przeżywa swój przyjazd do Głogów Joasia z „Ludzi bezdomnych” czy Raduski z „Promienia” patrząc ze wzgórza na rodzinny folwark, modrzew i staw okolony olchami.

Ale też Mickiewiczowskie wizje nie były jedynymi obrazami dworku szlacheckiego, które kształtowały zbiorową świadomość. Świadomie nawiązywała do „Pana Tadeusza” Eliza Orzeszkowa pisząc swoje arcydzieło „Nad Niemnem”. Pokazała tu zarówno dostatni dwór Korczyńskich, jak i ubogie, ale pełne jakiejś dyskretnej dostojności domy szlachty zaściankowej. Sięgając zaś do niedawnej przeszłości połączyła te oddalające się od siebie światy wielką ideą walki narodowowyzwoleńczej. We wspólnej mogile spoczęli właściciele prawdziwych pałaców i mieszkańcy maleńkich dworków.

Po upadku powstania styczniowego, ostatniego powstania, w którym średnia i drobna szlachta wzięła na siebie niemal cały ciężar walki i zapłaciła za to tak wysoką cenę, wydawało się, że dwory już nie podźwigną się z upadku, tym bardziej, iż w tej trudnej sytuacji nastąpiło uwłaszczenie chłopów. Istotnie, wiele utworów wczesnego pozytywizmu na pierwszy plan wysuwało konflikty między dworem a wsią, jakby zapominając o tych wartościach, które tu omówiłem. Ale, na szczęście, nie trwało to długo, literaturę tendencyjną wyparła wielka twórczość wspomnianej już Elizy Orzeszkowej czy Henryka Sienkiewicza. Chciałbym w tym miejscu poświęcić nieco uwagi „Krzyżakom”, gdyż tradycyjnie utwor ten uważany jest za powieść dla młodzieży, co niestety nie sprzyja pogłębionej lekturze. A przecież jednym z ważnych wątków „Krzyżaków” jest kształtowanie się warstwy szlacheckiej w Polsce. W XV wieku rycerze osiadają na ziemi i rozpoczynają ziemiański byt, od którego raz po raz odrywając ich wici zwolujące na kolejną wyprawę wojenną. Jednak wyruszając na wojnę rycerz zabezpiecza swoje włości, a walcząc myśli o jeńcach, którzy przydadzą się w pracy na roli i o łupach, dzięki którym można będzie dokupić nowe włóki, a także wystawić godny kasztel.

Jest też pewien wątek tej powieści, który aż kusi o uwspółcześnione (tj. z punktu widzenia sytuacji popowstaniowej) odczytanie. Maćko i Zbyszko z Bogdańca są — jak wiadomo — z licznej gromady rodu Gradów. „Był to niegdyś liczny ród — czytamy na początku VII rozdziału. Czasu wojen zwoływali się okrzykiem: «Grady», w herbie zaś — mieniać lepszymi od innych Włodyków, którym nie zawsze przysługiwało prawo herbu — nosili Tępą Podkową. Roku 1331, w bitwie pod Płowcami, siedemdziesięciu czterech wojowników z Bogdańca wystrzelali na bagnie kusznicy niemieccy, ocalał tylko jeden, Wojciech, przewzwisek Tur, któremu król Władysław Łokietek po pogromie Niemców potwierdził osobnym przywilejem herb i ziemie bogdanieckie. Tamtych koście białe odtąd na polach płowieckich. Wojciech zaś wrócił do domowych pieleszy, lecz po to tylko, by całkowitą zgubę rodu swego oglądać.

Albowiem, podczas gdy mężowie z Bogdańca ginęli pod strzałami Niemców, zbójnicy-rycerze z pobliskiego Śląska napadli na ich gniazdo, spalili do cna osadę, ludność wysiekli lub uprowadzili w niewolę po to, by ją sprzedać w odległe kraje niemieckie. Wojciech został sam jeden w starym domostwie, które ocalało od ognia, jako dziedzic obszernych, ale pustych ziem, poprzednio do całego włódczego rodu należących. W pięć lat później ożenił się i spłodziwszy dwóch synów, Jaśka i Maćka — od tura w lesie na łowach zabit.

Synowie rośli pod opieką matki, Kachny ze Spalenicy, która w dwóch wyprawach pomściła na śląskich Niemcach dawne krzywdy, w trzeciej zaś poległa. Jaśko doszedłszy do lat pojął w małżeństwo Jagienkę z Mocarzewa z którą spłodził Zbyszka. Maćko zaś pozostawszy w stanie bezzennym pilnował majątności i synowca, o ile pozwalały mu na to wyprawy wojenne.”

Literatura XIX-wieczna posługiwała się często językiem ezopowym, by zmylić czujność cenzury. Wydaje mi się, że w tym przypadku relację tę można odczytać zarówno jak li tylko historię jednego rodu, ale też można pokusić się o inne odczytanie, przedstawienie losów naszej szlachty, której po klęsce powstania listopadowego groziła omal biologiczna zagłada. Dlatego obok utrzymania ziemi, jako zachowanie polskiego stanu posiadania, równie ważne stało się biologiczne odrodzenie szlachty, by nie ulec przewadze żywiołu obcego. Stąd już teraz potrafimy do końca zrozumieć niechęć Maćka do Danusi, mimo je wiana i świetnego pochodzenia. Nie nadawała się na matkę rodu. Jej przeciwieństwem była Jagienka, która — jak powtarzał Maćko — co roku mogłaby rodić. No i w finale powieści, gdy Zbyszko wraz z Maćkiem wyruszał na wojnę z Zakonem, do Sieradza odprowadziła go Jagienka z „gromadką dzieci”.

Dworek szlachecki na nowo powrócił do literatury już w wolnej Polsce. Trudno się temu dziwić, wszak to tam — jak tu podkreślałem — przechowywano ciągłość wolnej ojczyzny i wychowywano coraz nowych żołnierzy powstań narodowych. Gdy więc stał się ów cud, spełniły się marzenia sześciu pokoleń, tradycja ta raz po raz wracała na karty powieści i w strofy wierszy, mimo programowej niechęci nowej epoki do męczeńskiej przeszłości. Pojawił się nawet pisarz, który udanie nawiązał do tradycji sienkiewiczowskiej, co czytelnicy od razu docenili, a autora „Młodości, miłości, awantury” wybrali w poczet naszych Nieśmiertelnych, tj. Polskiej Akademii Literatury. Mam na myśli Piotra Choynowskiego świetnego prozaika, jak najniesłuszniej dzisiaj zapomnianego.

Wśród poetów, którzy stawiali wówczas pierwsze twórcze kroki, a którym historia nie dała się w pełni wypowiedzieć, była „panienka” z kresowego dworku, autorka popularnej piosenki z lat II wojny światowej, Krystyna Krahelska. Czasami wprawdzie narzekała na swoje dworkowe „od lat (...) to samo”, ale kiedy wyjeżdżała do Warszawy, przywoziła jakiś powiew kresowości, przejawający się zwłaszcza w pięknym, charakterystycznym śpiewie, ale nie tylko, bo także w sposobie bycia, a nawet... patrzenia na świat. Czyż mogło być inaczej, skoro według słów samej poetki:

*U nas na Białej Rusi, inaczej niż wszędzie na świecie:
Najpierw znad ługów ciągnie trawą i burzą. I ciszą.
Potem któregoś dnia nagle przejrzystość w powietrzu.*

Wiesz: jesień.

I zaraz już ciągną ptaki kluczami. I wszędzie je słyszysz.

Istotnie, Krystyna Krahelska wszędzie słyszała odgłosy swojej domowej ojczyzny. Nawet spod warstwy kurzu potrafiła wdożyć urodę minionego czasu, jak choćby w tym pięknym wierszu:

*O prababczynych pantofelkach z liliowego atlasu,
O zamkniętych na strychu starych śluckich pasach.
O strzępach sukien czyichś i w blade szytych róże,
O zamurowanym w ścianie powstańczym mundurze*

*Któż ci powie — wymarli ludzie, dom — sierota?
Wiesz, że o siwy kamień, co leży we wrotach,
Dzwonił podkowami napoleońskie konie?
Wiesz, że maleńskie twych prababek dłonie,
Na chorągwiach znaczyły Orła godło święte?
Wiesz?...*
*...Cisza legła w polu pożętym,
Strych kurzem tchnie — i dawno upłynionym czasem.*

Pożegnanie z dworkiem polskim i tymi wszystkimi treściami, jakie w sobie krył nastąpiło — to nie jest próba nadmiernej aktualizacji — 17 września 1939 roku; tak pisał o tym Stanisław Baliński, autor pięknych, aksamitnych wierszy, często świadomie stylizowanych na romantyczne nastroje:

*Jutro dwie wściekle armie ten ogród stratuja
I rozniosą tych ludzi z furją dramatyczną,
Oni to już odgadli i w sercu już czują,
Żegnając podświadomie przeszłość romantyczną.*

Uderzająca jest celność obrazowania: Ogród, czyli ziemski raj, ukształtowany przez romantyczne mity, legł w gruzach, a wraz z nim ów szczęśliwy czas, gdy nawet w zniewolonej ojczyźnie można było odnaleźć przyczółek swobody. Poeta niemal z zawstydzaniem wyznaje:

*Czymże ten obraz, tknięty światłem tajemniczym,
Wobec krwi, która spłynie jutro nieprzytomnie
Po umęczonej ziemi? Pyłkiem wątłym... Niczym...
Ale ja go nie mogę zgasić i zapomnieć.*

*Czymże ten mój domek i czule żegnanie
Wobec męstwa i walki aż po krwi cierpienia?
Niczym... Lecz ja pamiętam tę noc jak skazaniec,
Który pamięta zawsze chwile przebaczenia.*

Odtąd już dworek pozostanie tylko wspomnieniem dla tych, którzy spędzili w nim dzieciństwo, czasami jeszcze młodość. I tak zamknęło się koło. Powołał go na karty poezji Adam Mickiewicz z serdecznych wspomnień „kraju lat dziecinnych”, ale i w tej tonacji piszą dzisiaj o dworku poeci współcześni, Coraz rzadziej wprawdzie, lecz wśród tych nawiązań są i tak piękne, jak wiersz ks. Jana Twardowskiego o jednoznacznie brzmiącym tytule „Było”:

*wiersze staroświeckie co wzruszają teraz
z rymami jak należy z przecinkiem i kropką
z dowodem co zniknął nagle cicho i na zawsze
a wiadomo cisza większa niż milczenie*

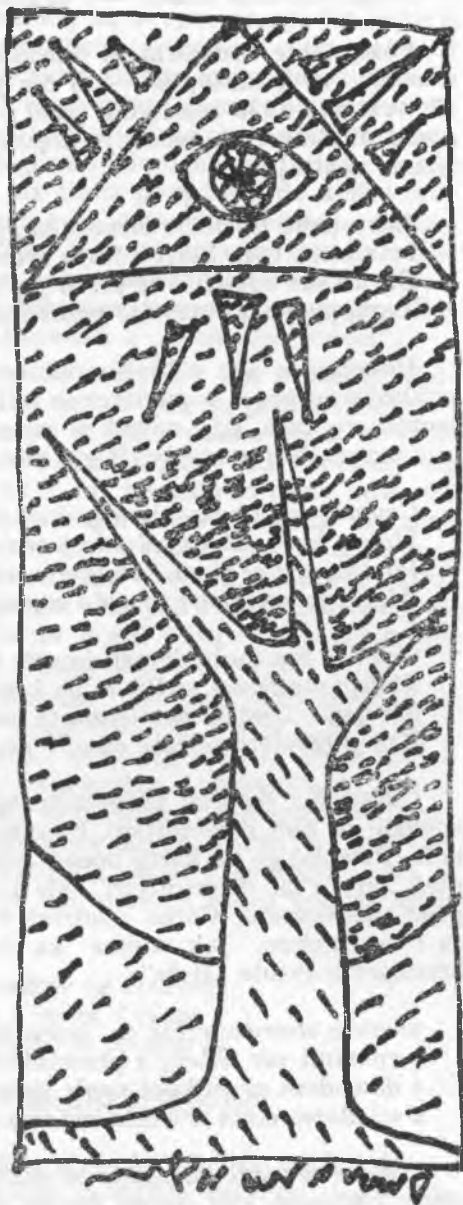
I może właśnie ta „cisza większa niż milczenie” sprawiła, że powracamy pamięcią jeśli nawet nie do rzeczywistych dworów, bo — jak napisałem — dziś już nieliczni się z nich wywodzimy, to przynajmniej do tych, w strofach poetyckich utraconych, białych, stojących na wzgórzu i koniecznie wśród drzew...

Waldemar Smaszcz

TU MIESZKAŁ ADAM...

*Tu mieszkał Adam,
pamiętam, na dziedzińcu nad bramą
we wnęce był święty Krzysztof
namalowany, w szacie
koloru ciemnoczerwonej wiśni,
z małym Jezuskiem na ramieniu,
a dalej nie wiem..
nie przypominam już sobie,
jak wyglądało drzewo,
na którym się opierał
i czy pąki zielone
na tej lasce kwitły...
...A dzisiaj w nocy
ten święty mi się przyśnił
miał niebieskie oczy
i długą siwą brodę
stał w środku Wilii
i długo się dycydował,
na który brzeg stąpić,
na którą przejść stronę
tyle tu dokoła żelazobetonu...
Chciałem go wziąć na ręce
i przenieść do jego domu
nad bramą „U Adama”
ustawić we wnęce...
...Ale
elektryczny słowik
zaterkotał chrapliwie:
wstawaj, szósta rano
i ...obudź rodzinę...*

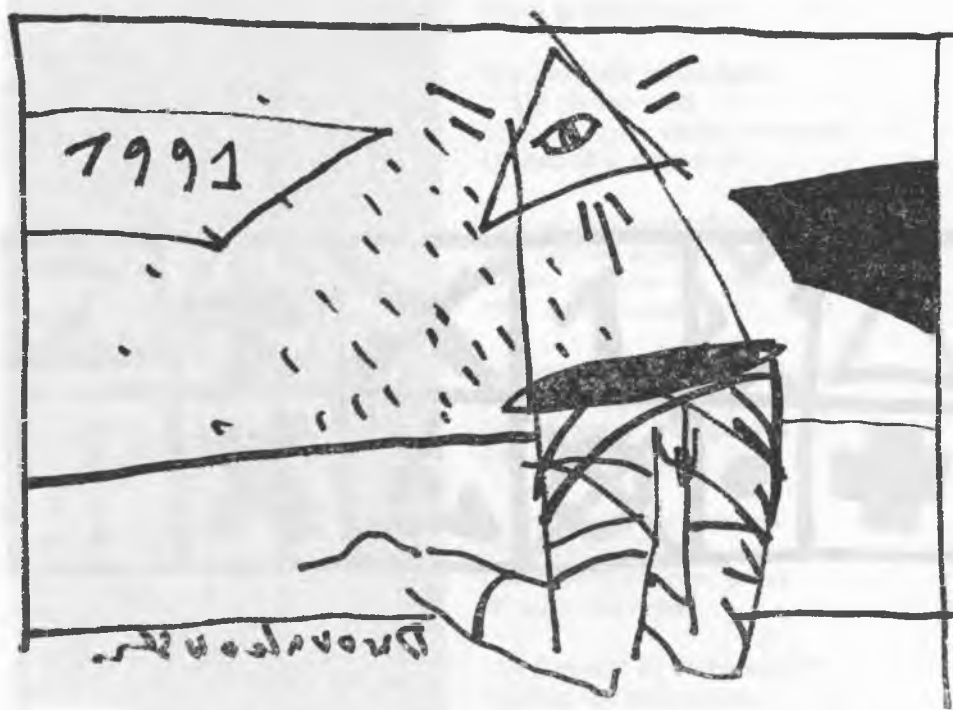
Jan Kozicz



GŁOS POLSKI Z UKRAINY

Z nieukrywanym wzruszeniem odczytuję listy, zapiski, wspomnienia, pisane przez Polaków na dawnych Kresach Rzeczypospolitej. Ból opuszczenia, blizny znoszone w pokorze jak zamię krzyża, domagają się utrwalenia.

Niedawno trafił do moich rąk niezwykle zeszyt, zszyty nicią, oprawiony w folię, zeszyt pełen ballad, pisanych przez nieznanego mi z nazwiska Polaka, mieszkającego po dzień dzisiejszy na Ukrainie. Nie są mi znane jego koleje losu i twórczości. Zeszyt został opatrzony tytułem: „Zbiór z prawd”; na wewnętrznej stronie zeszytowej okładki pomieszczono

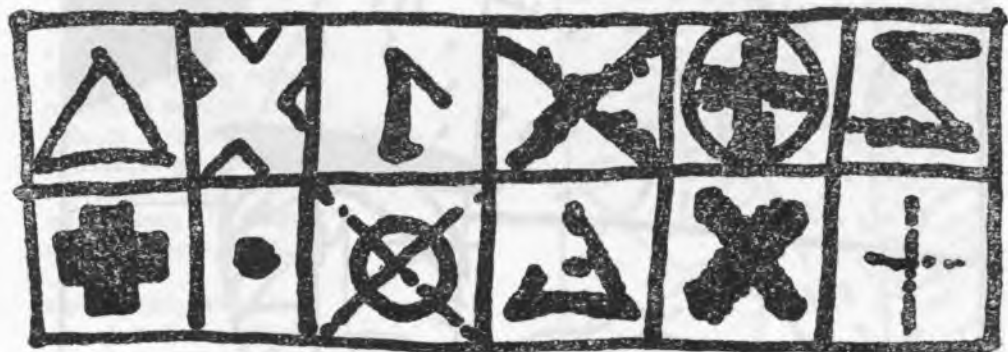


ne zostało motto, nieukończony, urwane. Może w zamiarze autorskim miało być jeszcze jedną balladą, może miał to być inny gatunkowo zapis, pełen refleksji nad światem i zarazem pełen pokory wobec dramatów, których świadkiem był właściciel kajeciku. Ballady autorstwa właściciela zeszytu nieporadnością stylu, języka — wzruszają; podejmowaną tematyką zahaczają o dekalogowe prawdy. Jest jednak w tym zeszycie nuta niezwykła, która organizuje całość — jest nią ufność w Opatrzność, która

jest w stanie z każdej opresji wyprowadzić człowieka. Nie ma w tych balladach nienawiści, są tylko ludzie, błądzący w ciemnościach, tęskniący za Światłem, które kiedyś pojawi się na ich drogach. Nie ma dramatycznej, rozpaczliwej nuty, która pozostawia człowieka samemu sobie, bez żadnej nadziei. I choć wiersze można zaliczyć do tzw. poezji ludowej, to jednak trzeba dopowiedzieć i to, że tego typu literatura obok literatury wysokich lotów, podtrzymywała także polskość; ducha narodu i przede wszystkim wiarę, że Bóg czuwa, że Krzyż, który został nam dany, okaże się znakiem Zwycięstwa.

Ze wzruszeniem czytam ballady, powstałe w latach 1983-84, kaligraficznym pismem wpisane do zeszytu, które dotarły z dalekiej Ukrainy. I nie najważniejszy staje się ich kształt artystyczny, język, nie najważniejsze stają się mechanizmy jakie kształtują samorodną twórczość. Ale wzruszający jest głos ludzki, oddalony od ojczyzny, pozbawiony na pozór wszystkiego — jednak głęboko tkwiący korzeniami, zrosnięty jak pępowina z miejscem trawania. Jest to wołanie z dalekiej Ukrainy — ślad trwania i czuwania zarazem.

Jan Leończuk



POMOC ŚW. TERESY



Wojciech — Ksiądz
— na pociąg śpieszy,
Do chorego jedzie.
Chorąży leży w Meżyrowie,
Czeka do spowiedzi.

Dziesięć minut do peronu
Jeszcze pozostaje.
Kaplan wpada do wagonu
I bilet dostaje.

I od razu pociąg ruszył,
Ksiądz wyciera czoło,
„Prowadnik! Bilet wam nużen?”
— Wymawia wesolo.

Konduktor bilet przegląda
I od razu powie:
„Grażdanin! Pojezd nie staniet
Wam u Meżyrowa!

Wy oszybliś pojezdami
I nie na tot sieli.
Czto że teper dielat s wami?
O! kak Wy wspoteli!

Tak w Proskurowie! Poniatno?
Wy toczas sojdiote!
Wam, ja wiżu nie prijatno,
Wy swojo najdiote!”

Ksiądz ze żalu skrzywił wargi,
Potem prędko wstaje
I z kieszeni marynarki
Różaniec dostaje.

I modlitwy swe zanosi
Do Świętej Teresy.
Dla chorego błaga, prosi
W jego interesie.

„O, Tereso! O, Patronko!”
Kaplan do niej powie.
„O dopomóż mi z pociągu
Zejsć u Meżyrowie!

Daj, ażeby pociąg stanul!
O, Święta Tereso!
Dla chorego — o laskawa,
W jego interesie!”

„O Patronko! Opiekunko!”
Raptem pociąg staje.
Kaptan klania się niziutko,
Bogu cześć oddaje.

Ale wola maszynistę
Kierownik pociągu.
„Maszynist! Czego zaderżka?
Zdzieś niet ostanowki!”

Maszynista odpowiada;
„Ja nie stawał przeźde!
Diewuszkę ja perejechał
U czernoj odieździe!

Sama strojnaja, bosaja,
Meźdu rels stojąta,
I molaszczyj wzór brośaja,
ruki wwerch podniała!

Moj pomieszcznik widel toże,
Wy jego sprosite!
Prawdu skażet, wrat nie możet,
Idte posmotriete!”

Ten popatrzył dookoła...
— Maszynista czeka.
Czysty tor i czyste koła
Nie widać człowieka.

Ksiądz z wagonu wylatuje
I do Świętej woła:
„O, Tereso! O dziękuję!
— Ześ mi dopomogła!”

Ksiądz przekroczy przez koleję,
Bo podwoda czeka.
Od radości płacze, mdleje,
Całuje człowieka.

„Dzięki Ci Święta Tereso,
Ześ ostanowila, —
Pociąg ten „skoryj — ekspresnyj”
Sobą zatulila!”

Na podwórku u chorego,
Widać pełno ludzi,
Bo katolika dobrego
Wiara — drugich budzi.

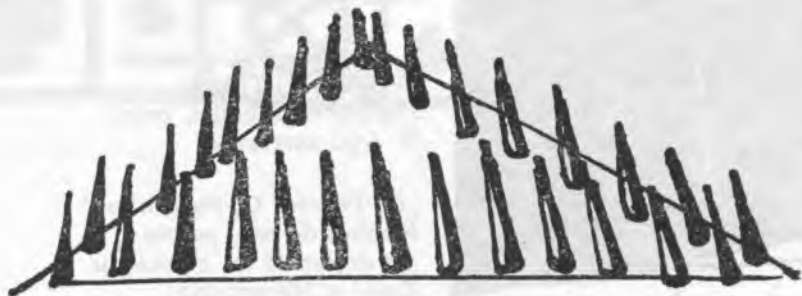
Zapalają wszyscy świecy,
Na kolana stają
I kapłana — bo z Jezusem —
Razem spotykają.

Ksiądz zachodzi już do chaty.
Stara lży wyciera.
„Łyszuś, ojcie ja strażdaty!
Już stary umiera!”

Wyspowiadał ksiądz staruszka,
Wszystkiego dokonał
I odszedł tylko od łóżka,
Jak staruszek skonał.

Bo uczciwie swoje życie
Wciąż z modlitwą łączyl
I w latach już sędziwych
U Boga zakończył.

25 XII 1983 r.



KOŚCIÓŁ KATOLICKI A DIASPORA POLAKÓW W SOWIETACH

Odzyskanie pełnej suwerenności politycznej przez państwo polskie, przy równoczesnych, niezwykle skomplikowanych przemianach jakie dokonują się za naszą wschodnią granicą, po raz pierwszy w dziejach stwarza realną szansę wywierania skutecznego wpływu na życie społeczno-kulturowe Polaków rozproszonych na ogromnych przestrzeniach byłego ZSRR. Dzieje stosunków polsko-rosyjskich i polsko-radzieckich to również dzieje Polaków na obszarach euroazjatyckiego państwa. Od dawna trafiali tam jako jeńcy, więźniowie, przesiedleńcy, żołnierze wrogiej sobie armii, czy też poszukiwacze lepszego życia.

Wznosili ze sobą, w nowe dla siebie warunki, wartości kulturowe i cywilizacyjne kraju swego pochodzenia. W kraju osiedlenia, w zależności od tego, co sobą stanowili, jakie było ich położenie socjalne, i jak żywa była więź z krajem macierzystym, ulegali lub też nie procesom asymilacyjnym.

Warunki zewnętrzne, „otoczenie” prawno-polityczne państwa carskiego nie stanowiło większego zagrożenia dla zachowania tożsamości narodowej. Jego słabość strukturalna, a ideologiczny charakter, wielonarodowościowy skład społeczeństwa umożliwiały kultywowanie i rozwój własnej kultury, języka, obyczaju i religii. Na straży integralności kulturowej stał kościół katolicki. Mimo swego uniwersalnego charakteru, w warunkach zaborów pełnił funkcje wspomagające poczucie narodowe, *budzi je tam, gdzie go jeszcze nie było. Różnice konfesyjne, wyraźnie wrogie* charakter wzajemnych relacji obrządku wschodniego i zachodniego, wyznaczały bardzo wyraźne granice dopuszczalnych stosunków. Zmiana konfesji poczytywana była zarazem za zdradę narodową, apostazja zaś miała bardzo konkretne następstwa społeczne i polityczne, związane z usunięciem takich jednostek poza nawias życia polskiego.

W zapisanej na gorąco notatce w dzienniku, zesłaniec syberyjski Julian Sabiński pod datą 20 I 1846 r. podał: *spóźniła się dziś eksportacja aż do 9-ej wieczora, a to z powodu, że pierwiej w naszym kościele skończyć się musiało powtórzenie Onufrowicza ślubu, uprzednio odbytego w cerkwi rosyjskiej, mówiąc właściwie, czekaliśmy z naszym zmarłym aż przejdzie inny obchód żałobny, chcę mówić okazały pogrzeb, który pan młody sprawił swoim narodowym uczuciom i wierze ojczyściej”.*

Jest znamienne, że w stosunku do żyjących w rozproszeniu Polaków, kościół katolicki na obszarze Rosji pełnił niejako zastępczą funkcję nie istniejącego państwa. O tym warto i należy pamiętać. Tam gdzie istniała parafia katolicka, tam kwitło życie polskie, niezależnie od tego, czy miało to miejsce w odległym o wiele tysięcy wiorst Irkucku, Moskwie, nie mówiąc już o Petersburgu. Więż religijna, wzmocniana działalnością paster-

ską kapłana, a często kulturalną i socjalną, była czynnikiem ważącym na trwałości uczuć narodowych i ich intesywności.

Do paradoksów funkcjonowania państwa carskiego zaliczyć należy fakt, że antypolską polityką na Kresach i Królestwie Polskim, przyczyniało się do rozwoju katolicyzmu na swoim terytorium. Tam bowiem, gdzie trafiali zesłańcy, czy też żołnierze katolickiego wyznania, tam prędzej czy później trafiali katolicy księża. Faktycznie więc przez cały wiek XIX i początek XX mamy do czynienia z rozwojem katolicyzmu i struktur kościoła katolickiego na terenie Rosji.

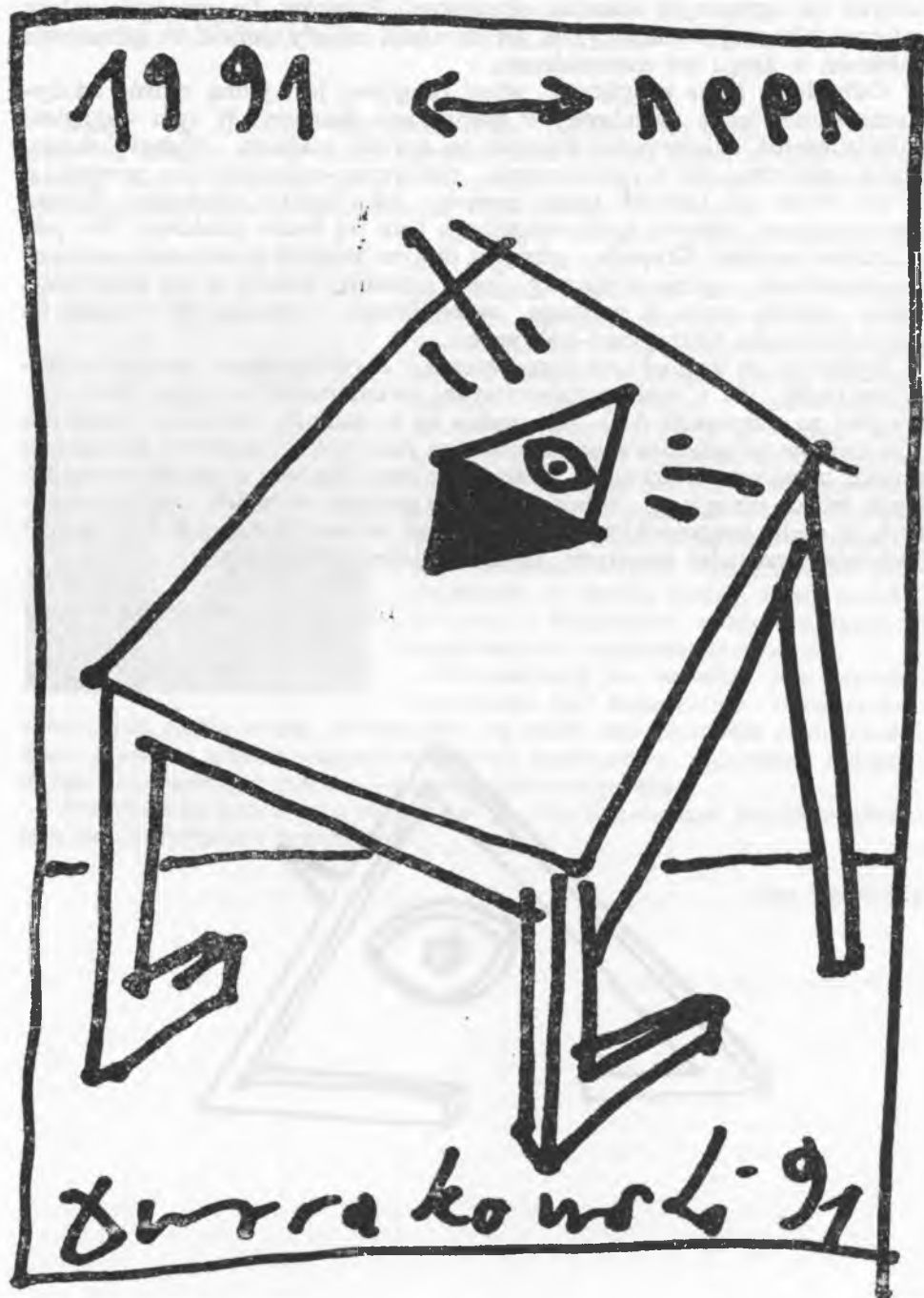
Faktem jest, że przymusowo przesiedleni i zsyłani Polacy stanowili najaktywniejszą część społeczeństwa polskiego. To za swój bardzo żywo i gorąco przeżywany stosunek do idei wolności narodowej, walkę o suwerenne państwo, przywiązanie do tradycji i religii byli prześladowani i karani. Inaczej rzecz się miała z generacjami późniejszymi. Polakami udającymi się w głąb Rosji w poszukiwaniu lepszego losu, pracy, stanowisk, awansu, który tam był możliwy. Nasilenie tej swoistej emigracji miało miejsce w ostatniej ćwierci wieku XIX i pocz. XX. W tej diasporze nierównie często zachodziły zjawiska asymilacji wraz z utratą poczucia tożsamości narodowej. Szczególnie szybko proces ten zachodził tam, gdzie nie było ogniska polskości, jakim był kościół katolicki. Osłabienie więzi religijnych, dość częste zjawisko zawierania mieszanych związków małżeńskich oraz przysłowiowa bieda materialna przyczyniały się do szybkiego tempa tych procesów. Książd Żyskar omawiając swoją pracę wśród diaspory polskiej tak pisał: „Gdzie tylko zjawi się kapłan energiczny, pobożny, patrzący na swój stan kapłański nie jak na rzemiosło, ale jak na służbę bożą i społeczną, tam od razu więcej uczęszcza ludzi do spowiedzi, wszyscy skupiają się i jednoczą dookoła kościoła i kapłana.”

Lata porewolucyjne, lata budowy państwa na zasadach ideologicznych, to szczególnie trudny okres w życiu Polaków. Liczba ich, skład socjalny uległy zmianom w porównaniu sprzed I wojny światowej i rewolucji. Odmienny charakter państwa, jego programowe zaangażowanie się w walkę z kościołem, religią, determinowało położenie społeczności polskiej. Polacy byli jednym z narodów najwcześniej dotkniętych polityką represji. Trwały one począwszy od lat trzydziestych poprzez okres wojny aż po lata pięćdziesiąte. Niszczenie biologiczne połączone było z niszczeniem substancji kulturowej, materialnej i duchowej. Niewiele pod tym względem zmieniły powojenne lata „normalizacji”, w których zdegradowani do obywateli n-tej kategorii, izolowani od kraju i narodu egzystowali zapomniani i pozostawieni samym sobie.

Historycy długo będą wyliczać straty biologiczne, jakie poniósł naród polski w wyniku polityki państwa radzieckiego, ale też w wyniku zaniedbania działań własnego państwa i jego instytucji. Są i będą spory co do faktycznej liczby Polaków zamieszkujących „przestrzeń” byłego ZSRR. Nie są w tym względzie miarodajne oficjalne statystyki. Jak daleko złożona jest sytuacja, świadczy zebrania organizujących się środowisk polskich. Przykład zebrania irkuckiego z czerwca 1990 r. jest symptomatycznym; nie przez atencję dla przedstawicieli władz lokalnych, ale z konieczności, obrady prowadzono w języku rosyjskim. Młodzi, urodzeni i wychowani w warunkach rzeczywistości radzieckiej, nie znają języka polskiego, jego historii i kultury. Jedynie świadomość pochodzenia i determinacja poznania kraju swoich przodków, krewnych, jeśli tacy, przetrwali, wyróżnia ich z innych nacji, określa ich tożsamość. Oni siebie uważają za Polaków. Jak liczne są to rzesze nie ujęte w żadnych statystykach? Na to pytanie nikt poprawnej odpowiedzi nie jest w stanie udzielić. Tym bardziej, że daleko jeszcze do sytuacji, w której procesy

samoidentyfikacji narodowej mogą przebiegać w sposób nie zakłócony (poczucie bezpieczeństwa politycznego, ekonomicznego, przepływ informacji ze świata zewnętrznego, pomoc materialna i duchowa kraju macierzystego). Jest więc ogromna potrzeba wsparcia tych procesów, udzielenia pomocy.

Sytuacja wewnętrzna na obszarach Wschodu, ze swoją daleko idącą nieokreślonością kierunków przemian, stanowi zagrożenie dla odradzają-



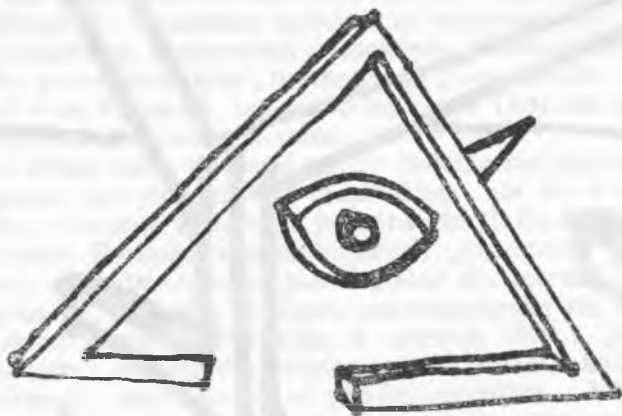
cego się życia polskiego. Postępujące procesy dezintegracji struktur dotychczasowego państwa i budowania państw nowych na zasadach partykularyzmów i separatyzmów narodowych sprzyjają wszelkiego rodzaju nacjonalizmom. Mieszanka narodów, плецион, kultur, przy postępującej degradacji materialnej — zagrażającej wręcz przetrwaniu biologicznemu, jest mieszaniną wybuchową.

W tych niezwykle złożonych i trudnych czasach pojawiła się szansa na odbudowę, czy wręcz budowę od podstaw życia polskiego w rozrzuconych na ogromnym obszarze skupiskach Polaków. Do mrzonek należy zaliczyć pomysły ewakuacyjne, ale można i należy pomóc w odbudowie polskości w kraju ich zamieszkania.

Odbudowa życia religijnego, więzi religijnej jest jedną z dróg zdobywania samowiedzy narodowej w warunkach diaspory. W tym względzie doświadczenia historyczne kościoła są atutem ważkim. Słabość ekonomiczna państwa jak i ograniczenia polityczno-organizacyjne powodują, że nie może ono udzielić takiej pomocy, jaka byłaby niezbędna. Szansą jest natomiast budowa życia religijnego i na tej bazie polskiego. Nie jest to trudne na tzw. Kresach, gdzie w dużym stopniu przetrwała substancja materialna i gdzie widoczny jest ogromny postęp w tej dziedzinie. Tutaj zresztą praca ta wymaga szczególnego wycucia ze względu na uwarunkowania historyczno-polityczne.

Sytuacja, ze względu na rozproszenie i zaawansowanie procesów asymilacyjnych, jak i brak rudymen tarnej świadomości religijnej trudniejsza jest na obszarach Azji. Jak ważne są to zadania świadczą wrażenia uczestników nabożeństwa wielkanocnego (nie tylko Polaków i katolików) z roku bieżącego w Irkucku. Kościół, którego historia sięga lat dwudziestych wieku ubiegłego, odbudowany po pożarze w latach osiemdziesiątych w stylu neogotyckim, z nowu skupił w swoich murach (po ponad 50-letniej przerwie) wiernych. Zrobiono dobry początek.

Zbigniew Opacki



ZAPISANE W MOŁCZANACH

Dzięki ks. Józefowi Horodeńskiemu otrzymałem relację z Mołczan, gdzie na kilkunastu stronach pomieszczona została historia mieszkańców parafii, pisana jakby w pośpiechu, notująca fakty i bardzo drobiazgowy opis wyposażenia wnętrza świątyni, które uległo zniszczeniu.



Relacja z Mołczan, zapisana niewprawną ręką p. JÓZEFY SAWICKIEJ — stróża kościoła i polskich pamiątek, zaledwie kilkoma zdaniami kwituje dramaty ludzkie. Zdaje się że ten dokumentarny zapis historii parafii i wiernych pisany jest przy wtórze rozkołysanego rezurekcyjnego dzwonu. Autorka relacji dokładnie liczy czas od przybycia Kapłana, od odzyskania zdesakralizowanej świątyni, od pierwszej Mszy Świętej. Stąd tak wiele nazwisk wpisanych w czas trwania na placówce w Mołczanach i tyleż ciepłych słów skierowanych w stronę księży, tyleż nadziei, że wraz z Kościołem ułoży się życie, i tyleż radości z odzyskanej świątyni.

Wzruszający jest to zapis, jak wzruszające mogą być świadectwa trwania polskości, jak głębią swoją poruszające się znaki odzyskiwania człowieczeństwa. I jest to przede wszystkim głęboki zapis wiary, nieugiętej, nie poddającej się ciemnym mocom — wiary, która zwycięża...

Przemyconą przed laty relację, w jej niezmiennym kształcie ośmielam się Czytelnikom przedstawić.

Jan Leończuk

DZIEJE KOŚCIOŁA W MOŁCZANACH

Przedwojenne czasy

W dwudziestych latach obsługiwał Mołczany Ksiądz Maksymilian Turowski. Obsługiwał Mołczany, Szarogród, Kopajgród. To już ostatni Proboszcz przed wojną. Został aresztowany i wysłany.

W kościele Główny Ołtarz był drewniany dębowy, nad ołtarzem na ścianie wisiał obraz Matki Bożej Niepokalanej. Po prawej stronie boczny ołtarz — Pan Jezus w Ogrójcu, po lewej Matka Boska Różańcowa. Po prawej stronie przy bocznym ołtarzu sklep, gdzie leżały zwłoki fundatorów (2 trumny). Był organ.

Na podwórku przed frontowymi drzwiami wielka figura na wysokim postumencie Matki Bożej z lilią w ręku. To grobowiec. Po prawej stronie Kościoła dzwonnica — trzy wielkie dzwony. Na wieży kościoła krzyż posrebrzany.

Okolo 1935 roku kościół zabrano. Drogocenne rzeczy: monstrancję, kielichy, puszki, ornaty naszyte złotem i srebrem wywieziono. Bieliznę, Alby, Komże, obrusy zabrano. Trumny ze zwłokami fundatorów wywieziono. Wszystko inne na podwórku przed kościołem pobito i spalono. Została tylko romanina, filary od chóru i puste mury. Na podwórku przed frontowymi drzwiami figura Matki Bożej zrzucona na ziemię, postument zupełnie pobity, figura uszkodzona w ziemię się zapadła od długiego leżenia, ale ocalała. Druga figura pobita, dzwony zabrali, krzyż z wieży kościoła zrzucili.

Z kościoła zrobili klub na kino i tańce. Dali bezpłatne bilety. Pierwszy taniec dziecięcyna upadła i zachorowała. Drugi raz dyrektor szkoły wychodził na scenę złamał nogę; scena była zrobiona z prezbiterium. Więc wybrali się z kościoła, zrobili z kościoła magazyn na zboże i bili tu bydło.

Ludzie żyli i umierali bez kapłana, bez Mszy Św. i bez kościoła.

PRZEDWOJENNE CZASY

W czasie wojny ludzie przyszedli do kościoła. Strach było patrzeć, tylko mur, brudny i okurzony, skóry i krew z bydła po podłodze. Ludzie wymyli jak mogli i postawili stół, na stole krzyż i dwie świece. O jakaż była radość, że w tym Domu Bożym mogli wspólnie się modlić. Jednak ciężko było, nie było kapłana, Mszy św., Słowa Bożego i Sakramentu tów Św.

Rok, a może i więcej minęło, przyjechał z Polski ksiądz Franciszek Krajewski. Odpdawił Mszę Św. o jakaż radość, ludzie zobaczyli kapłana, uczestniczyli we Mszy Św. słyszeli Słowo Boże, słowa miłości i pokoju. Niebo na ziemi, nie ma już czego bać się i drzeć przed okrucieństwem. Ale

po Mszy Św. wyjeżdża. Ludzie płaczą. Ksiądz pociesza, że za miesiąc przyjdą księża.

Za miesiąc przyjechało dwóch księży. Ksiądz Duwian i ksiądz Zieliński. Ludzie chcą spotykać, uwili wianek, z bukietami kwiatów w rękę idą za wieś. Krzyż i chorągwie niosą, śpiewają. Wreszcie widzą w dali jedzie samochód ciężarowy, na nim dwóch ludzi stoi, ale czy oni. Samochód zwalnia bieg... Nasi Ojcowie, kapłani w sutannach poznali, że to ich spotykają. Zeskoczyli z samochodu, idą kawał drogi, zbliżili się do ludzi. Panienci okrzykiwały ich wiankiem, wręczyły bukiety kwiatów. Nie ma żadnej rozmowy, tylko radość nie do opisania. Kapłani zaintonowali „Serdeczna Matko”. Śpiewają, idą do kościoła. Byli trzy dni i wyjechali do Murafy.

Potem przyjechało jeszcze dwóch, ksiądz Włodzimierz Kucharek i ksiądz Józef z Murafy. Oni rozjeżdżali po wszystkich parafiach. Tak, że Mołczany miały Mszę Św. Jednak to nie trwało długo, może więcej jak rok, wyjechali wszyscy do Polski.

Po wojnie

Po ich wyjeździe, więcej jak półtora roku, minęło, przyjechał ksiądz śp. Marceli Wysokiński. Obsługiwał Mołczany 6 lat. Mógł przyjechać raz na rok na trzy dni.

Po nim zostaje proboszczem ksiądz Wojciech Darzycki. W kościele nic nie ma. Dał 5 ornatów. Postarał się o ołtarz bardzo ubogi, gdzie odprawia się Msza Św., Figurę Matki Bożej niewielką, ale bardzo piękną. Ta figura jest dla Mołczan bardzo droga. Ona z nami była najcięższe czasy. A teraz ona stoi w ołtarzu po prawej stronie.

Rzadko była Msza Św., ale za pozwoleniem Ojca Proboszcza co niedzieli i Święta wnoszą ornat, mszał, kładą na ołtarz. Ministrant otwiera Tabernakulum i śpiewają Mszę Św. Czy spodziewali się ludzie takiej radości wtenczas, jak szli blisko kościoła i słyszeli wrzaski i śpiewy w kościele i ryk bydła co zabijał w kościele.

Ksiądz Darzycki pracował w kościele 3 lata.

Tymczasem dla parafii wielki smutek i ciężar. Dają 10 tys. rubli, termin 10 dni oddać. Jeżeli nie oddadzą, grozi utratą kościoła. Parafia wysyła jak może. Dają ofiary i trzeba jeszcze pożyczać. Oddali do terminu.

I znowu zostaje proboszczem ksiądz Wojciech Darzycki. Kościół się wali, przez dach cieknie woda aż do wnętrza, trzeba obrusy zdejmować z ołtarzy, jak pada deszcz, pada, bo mokre okna, pobite, śnieg wieje. Na zewnątrz tynk odpada. Zaczyna ksiądz Wojciech remont. Czasy powojenne trudne. Nie nigdzie dostać i jeszcze nie pozwalają. Mówią: „Nie macie prawa nawet wbić w ścianę ćwieka, bo wielkie przestępstwo będzie”.

Ale znowu grozi niebezpieczeństwo, chcą zabrać kościół. Nie ma co już myśleć o remoncie, trzeba odważnie stanąć w obronie i walczyć. Kto będzie wodzem? Będą. Pan Bóg nie dopuścił. Dał dwu wielkich wodzów. Ksiądz Antoni Chomicki i ksiądz Wojciech Darzycki.

I znowu nie ma nic w kościele, wszystko wyniesione, ale przez wiernych. Zostali tylko Pan Jezus w Najświętszym Sakramencie i Figura Matki Bożej. Władza straszy, że wysyłać będzie wiernych na Syberie i Kameczatkę. Wierni stoją śmiało i odważnie w obronie kościoła. Mówią, że po naszych pobitych, martwych ciałach weźmiecie kościół, inaczej nie damy, wojnę zrobimy. Często w kościele wierni leżąc krzyżem na kamiennej posadzce śpiewali: „Przed oczy Twoje Panie winy nasze skła-

damy”, lejąc łzy na posadzkę, błagając Boga o przebaczenie i miłosierdzie i ratunek.

Tak trwało cały rok. Pan Jezus zwyciężył. Matka Boska zwyciężyła i ubłagała cud dla biednej parafii. Wodzowie zwyciężyli. Kościół został ocalony.



I znowu ksiądz Wojciech Darzycki zaczyna remont. Pokrył dach, przeprowadził światło elektryczne, wielki krzyż na ścianie nad ołtarzem, na nim figura Pana Jezusa umierającego. Wewnątrz pięknie pomalował, na zewnątrz zrobił remont. Figurę Matki Bożej, która stała przed frontowymi drzwiami postawił wysoko na froncie kościoła, opasał wysokim

murem, bramę żelazną wmurował. Postarał się o piękną figurę Serca Jezusowego, która teraz stoi po prawej stronie w głównym ołtarzu, figurę Św. Antoniego i piękną szopkę na Boże Narodzenie. Boczne ołtarze wymalował pięknie, obrazy Św. Wojciecha i Św. Antoniego po prawej stronie, gdzie był Pan Jezus w Ogrójcu, teraz Św. Antoni także patronem (odpust na Św. Antoniego).

I znowu smutek dla Kościoła, władza zabrania dzieciom do osiemnastu lat chodzić do kościoła. W szkole nauczycielka targała za uszy dziecko za to, że poszło do kościoła, z drugiego dziecka w szkole zdjęli krzyżyk. Jeżeli dzieci będą w kościele, to kapłana mogą zabrać z parafii. Msza Św. odbywa się w kościele, ludzie klęczą na bokach, kościół środkiem pusty, tak żeby było widać z podwórka aż do ołtarza, dzieci na podwórku przed drzwiami klęczą i tak uczestniczą we Mszy Świętej. Dzieci pytają swoich matek: „Mamo, a kiedyż ja już będę mamą, ażebym mogła pójść do kościoła?”.

Znowu odbywa ksiądz Mszę Św., do zakrystii wchodzi dyrektor szkoły i nauczyciel. Ksiądz skończył Mszę Św., wszystkich posyła do zakrystii: „Idźcie ratować dusze swoich dzieci”. Zbiegają się ludzie krzyk straszny. Jedna podbiegła do nich i krzyczy: „U mnie sześcioro dzieci, ja prowadziłam do kościoła i będę prowadzić”. Druga krzyczy: „Wy łamiecie konstytucję”; jemu posiniały wargi, trzęsie się ze złości. Wyprowadzają dyrektora i nauczyciela z zakrystii. Oni idą przez przedsionek do kościoła. Ksiądz stoi i zasłania dziecko, żeby nie zobaczyli. Oni wchodzi do kościoła, ludzie do nich: „Czego wy tu przyszli?” — „sprawy mamy”. Jedna kobieta nauczyciela za plecy i wyrzuciła z kościoła mówiąc: „U nas Pan Jezus w kościele nie sprawy”.

Ksiądz przyjechał na odpust, wezwali do urzędu i powiedzieli, żeby nie było dzieci w kościele. Dali dokument, żeby ksiądz przeczytał to ludziom. Po sumie w dzień odpustu przeczytał. Ludzie wszyscy z kościoła do urzędu. Krzyk straszny był. Na drugi dzień przyjechali, żeby straszyć ludzi, ale ludzie sami pobiegli i mówią: „My posłyszeli, że wy przyjechali, więc sami przyszliśmy powiedzieć wam, jak nad nami się znęcają”. Oni wpadli w złość okrutną i wypędzili ludzi. Ludzie pod urzędem siedzą. Oni strasznie krzyczą, mówią: „My wam nogi porąbamy” i stamtąd pędzą. Ludzie odeszli dalej, ale nie ustępują. Na drugi dzień wezwali do milicji. Zamknęli matki do celi aresztowanych i straszą: „Będziecie rwać włosy na swoich głowach”. A dzieci na ulicy płaczą.

To wszystko ksiądz Wojciech Darzycki przeżywał w Mołczanach i tyle wycierpiał. Obsługiwał Mołczany przez 20 lat. Ratował chorych, nieszczęśliwych i opuszczonych, niosąc im pomoc materialną. Pocięszał smutnych i strapionych. Poświęcał zdrowie, siły i życie dla kościoła i parafii. Nie szczenił siebie, często chodził piechotą po kilka kilometrów, błotem i śniegiem dobierając się do kościoła.

Po księdzu Darzyckim zostaje proboszczem w Mołczanach ksiądz Wincenty Witko, bardzo pobożny i gorliwy kapłan. Wybudował kuchnię i garaż. Obsługiwał Mołczany 9 lat.

Po nim zostaje proboszczem ksiądz Zenon Turowski. Obsługiwał jeden miesiąc.

Po księdzu Zenonie zostaje proboszczem ksiądz Stanisław Szulak. I znowu kościół potrzebuje remontu. Pomalował dach, nowy krzyż na wieży kościoła postawił. Na zewnątrz zrobił piękny remont. Obraz Św. Antoniego nowo wymalowany wysoko na froncie kościoła postawił, nowe drzwi, nowe okna wstawił. Wybudował mieszkanie przy kościele. Przeprowadził parowe ogrzewanie w kościele, postarał się opału więcej jak na dwa lata. Pomalował pięknie wewnątrz kościół. Wymurował basen na

wodę, wymurował jamę na wapno i zalasował. Wybudował pralnię. Ciężko pracował przy remoncie, stracił dużo zdrowia dźwigając ciężary, nie szczędził siebie. Bardzo gorliwy w pracy duszpasterskiej. W niedzielę i święta po skończonych nabożeństwach w trzech kościołach, przemęczony chodził już w nocy, po domach, jako misjonarz nawracać biednych grzeszników, litując się nad nimi. Odwiedzał chorych i nieszczęśliwych niosąc im słowo pociechy i anielskiego uśmiechu. Sam swoimi świętymi rękoma podawał jałmużnę ubogim. Był w parafii opiekunem biednych, chorych, nieszczęśliwych i opuszczonych. Nikim nie gardził, zawsze uśmiechnięty, uprzejmy i życzliwy dla każdego.

Gdy przyszedł dzień pożegnania, parafia żegnała najdroższego swego pasterza z bólem w sercu i ze łzami. Niezapomniany Ojciec i Dobroczyńca. Obsługiwał Mołczany 4 lata, od 5 sierpnia 1983 roku do 2 sierpnia 1987 r. Za tak krótki czas tyle zrobił, robił co tylko w ludzkiej mocy.

Ksiądz Wojciech Darzycki i ksiądz Stanisław Szulak to Fundatorzy kościoła w Mołczanach.

Józefa Sawicka



*Polonezem przez Wilno płynąć...
Smutek rozlać w Żalu Chopina
„...Ojczyzno moja! — na ustach z szeptem
Przy Ostrej Bramie zaplać Ogińskim...
A później trysnąć nastrojem mazura!
Moniuszkę zbudzić w Jego Straszonym Dworze!
Kolędą wskrzesić Gwazdę w nocnej chmurze
Ave Maria wśród nocnej ciszy..
Wstęgą potoku opasać Trzy Krzyże,
Zanucić „Wilno... strumieni rodzico”
I z matką — rzeką w poloneza rytmie
Przez Stare Wilno płynąć...*

1990 r.

Alina Lassota

KULTURA WILNA W OKRESIE MIĘDZYPÓWSTANIOWYM

Początek i pierwsze ćwierćwiecze XIX stulecia było dla Wilna okresem bardzo żywego rozwoju kulturalnego. Miasto zawdzięczało je przede wszystkim Uniwersytetowi. D. Beauvois w studium „Inteligencja bez wyjścia” podaje liczby świadczące, że Uniwersytet Wileński był jedną z najliczniejszych uczelni w Europie. Oxford i Cambridge bowiem nie przekroczyły przed 1830 rokiem liczby 450 immatrykulowanych studentów, gdy w mieście nad Wilią było ich 1322 w chwili likwidacji uczelni, po upadku powstania listopadowego. Było to zarazem najliczniejsze środowisko akademickie w całym państwie rosyjskim. Mniej liczne były ośrodki (kolejno) w Moskwie, Dorpacie, Charkowie, Kazaniu i Petersburgu. Świadczyło to zarówno o zainteresowaniu nauką Polaków zamieszkających na terenie Wileńszczyzny, jak i zrozumieniu roli wykształcenia w nowych warunkach politycznych. Uniwersytet Wileński był nie tylko bardzo liczną uczelnią, ale także uczelnią o bardzo wysokim, europejskim poziomie.

Przypomnijmy tylko, że długoletnim rektorem tej szkoły był Jan Śniadecki — matematyk i astronom. Prowadził obserwacje Słońca i Księżyca oraz zjawiska zaćmienia Księżyca i gwiazd. Był odkrywcą planetoidy Pallas, co świadczyło nie tylko o jego uzdolnieniach, lecz i o doskonałości aparatury astronomicznej, przy pomocy której prowadził obserwacje nieba. Bezsporne są także jego pionierskie — w skali światowej — badania nad rachunkiem prawdopodobieństwa, który dziś ma tak szerokie zastosowanie. Zajmował się też językiem, literaturą, historią i filozofią.

Jego brat Jędrzej był biologiem, lekarzem, chemikiem i filozofem. Kształcił się nie tylko w Krakowie, lecz także w wielu uczelniach Zachodu. Jego badania dotyczące roli bodźców nerwowych w życiu i funkcjach człowieka wyprzedzały o lat przeszło 30 prace Baine'a, uważanego za nowatorskiego odkrywcę przez kraje Europy Zachodniej. Obaj Śniadecy oprócz badań na skalę europejską zasłużyli się także nauce krajowej. Wprowadzili — Jan do matematyki — Jędrzej do biologii-rodzimą terminologię naukową. Oprócz nich w wileńskiej wszechnicy wykładali Lelewel, Groddeck, Jundziłł, Borowski i wielu innych.

Ten okres kultury kresowej jest badaczom doskonale znany, głównie z tej przyczyny, że absolwentami U.W. byli Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki. Nad ich wkładem w kulturę europejską i znaczeniem twórczości dla naszego bytu narodowego nie będę się rozpisywać. Są to rzeczy powszechnie znane i uznane. Mniej natomiast mówi się o tym że z Wilna wyszedł wybitny rektor Warszawskiej Szkoły Głównej — Józef Mianowski. Człowiek, dzięki któremu pokolenie studentów tej uczelni nadało ton życiu Polaków na całe 50 lat. A także stworzyło program

narodowego nie tylko przetrwania ale i rozwoju w ogromnie trudnych czasach postyczniowych. Mianowski głosił: „Nauką nie tylko bogacą się narody, ale nią się też na niepodległość wybijają”. Absolwentami Wilna byli także pisarze i litewscy uczeni: S. Stanevicius, K. Nezabitouskas-Zabitis i L. Jucevicins.

Oprócz Uniwersytetu działało na początku XIX wieku wileńskie Seminarium Duchowne prowadzone także na bardzo wysokim poziomie. Z innych instytucji kulturalnych współtworzących oblicze miasta należy wymienić teatr, bibliotekę uniwersytecką szeroko otwartą dla czytelników, liczne księgarnie, wydawnictwa i szkoły, w których było zatrudnionych około 150 nauczycieli.

Ten rozwój intelektualny miasta został zahamowany przez proces Filomatów i Filaretów. Ale prawdziwą katastrofą stała się dopiero klęska powstania listopadowego, w którym bardzo licznie wzięli udział i mieszkańcy grodu nad Wilią i okoliczna szlachta. Z samego tylko Uniwersytetu wyszedł do powstania oddział 400 studentów, czyli tyle, ile w owym czasie kształciło się młodych ludzi na wszystkich wydziałach Oxfordu.

Klęska powstania spowodowała na Wilno wzmoczony nacisk rუსyfikacyjny, nie słabnący przez cały okres międzypowstaniowy. Najsilniej odczuwanym ciosem było zamknięcie uniwersytetu i przesłanie w głąb Cesarstwa jego zbiorów bibliotecznych. Początkowo zamknięto też teatr.

Liczące 35 tys. ludności miasto w znacznej części żyło ze studentów i pracy w administracji. Teraz zepchnięte zostało na pozycję prowincji. Szła za tym pogarszająca się sytuacja materialna mieszkańców, oraz okolicznej szlachty, także dotkniętej represjami. Dodajmy, że najaktywniejsza część społeczeństwa wileńszczyzny szukać musiała schronienia za granicą. Osłabiło to znacznie siły miejscowe. Spowodowało spadek liczby potencjalnych odbiorców kultury oraz ludzi ją kształtujących.

W tych trudnych warunkach społeczeństwo Wilna podjęło próby ratowania instytucji kulturalnych. Pierwszą z nich było przekształcenie uniwersyteckiego wydziału lekarskiego w Akademię Medyko-Chirurgiczną. Przejęła funkcję kształcenia medyków na potrzeby tak zwanych ziem zabranych. Kształcili się w niej także młodzi ludzie ze wschodnich terenów Królestwa Polskiego. Niestety przetrwała ona tylko parę lat, w 1842 roku została zamknięta. Także działające dotąd Seminarium Duchowne zostało mniej więcej w tym samym czasie rozwiązane.

Teatr

W okresie popowstaniowym wileński teatr był zamknięty. Nieliczni antreprenerzy prowincjonalni nie odwiedzali zbyt często miasta, w którym szalała cenzura i które nie było zbyt zasobne. W 1834 roku generał-gubernator zezwolił na wznowienie przedstawień, jednakże dyrektorem zespołu mianował policmajstra Skobielcyna. Na szczęście policmajster krótko rządził sceną wileńską. Miejsce jego zajął dobry polski aktor Wojciech Aszperyger. Konkurencją dla polskiego teatru była zjeżdżająca stale do Wilna opera niemiecka. Zachował się z tego okresu list Adama Henorego Kirkora do Józefa Korzeniewskiego, autora cenionych wówczas powieści i dramatów: „Scena ojczysta na teatrze wileńskim upadła. Ile on jest ważnym pod względem moralnym i zachowania w czystości języka, mianowicie w klasie nic lub mało czytającej, a odwiedzającej jednak teatr, wiadomo”.

W dalszej części listu nadawca prosił pisarza o pomoc dla sceny wileńskiej. Kłopoty, z którymi borykał się teatr, był rozliczne. Należał do

nich przede wszystkim dobór repertuaru. Nie wolno było grać sztuk patriotycznych, nie mogły być nie tylko w Wilnie, ale i w całym zaborze rosyjskim grywane dramaty największych naszych romantyków. Nawet „Krakowiaci i górale” Bogusławskiego były pod anatemią cenzury.

Innym problemem była pusta kiesza potencjalnych widzów, których trzeba było zachęcać do odwiedzin często sztukami łatwymi i przyjemnymi, w których wdzięk niewieści był na ogół magnesem przyciągającym publiczność



Ale od czasów, gdy Irena Górska przeniosła się do teatru w Grodnie zabrakło nad Willią dobrej aktorki. Dyrektor teatru zwrócił się o pomoc do Warszawy i przywiózł stamtąd dwie młodziutkie aktorki: Emilię

Markowską i Helenę Majewską. Rachuby nie zawiodły. Obie panny okazały się utalentowane, miały dobrą prasę i były lubiane przez publiczność. Nowy sezon otwarto już w gmachu ratusza w dniu 26 grudnia 1845 roku komedią Aleksandra Fredry „Nikt mnie nie zna”. Ale nie był to już teatr polski. Była to już scena polsko-rosyjska. Zespół opuściła Majewska. Aktorzy nadal próbowali wpływać na repertuar. Zdarzały się sezony, w których sztuki rosyjskie stanowiły znikomą tylko część repertuaru. Wystawiano tu utwory sceniczne Syrokomli i związane z wileńszczyzną Korzeniowskiego. Tu także odbyła się świętowana przez Wilnian prapremiera „Halki” Stanisława Moniuszki, a także opery „Jewnuta” tegoż kompozytora, której libretto oparte było na dramacie Książnina „Cyganie”. W formule polsko-rosyjskiej przetrwał teatr do okresu rządów Murawiewa.

Zycie literackie

Pierwsze dziesięć lat po upadku powstania listopadowego upłynęło w Wilnie na kultywowaniu literackiej tradycji romantycznej. Powoli bowiem wracali z zesłania młodzi ludzie oskarżeni w procesie 1823 roku.

Jako jeden z pierwszych z zesłania w Parmie powrócił Jan Chodźko. Przed procesem wydał tylko jedną książkę. Była nią przeznaczona dla chłopstwa książka „Pan Jan ze Świsłoczy, kramarz wędrujący”. Zawierała w zbeletryzowanej formie przepisy gospodarskie, higieniczne i wskazania moralne.

Po powrocie Jan uaktywnił się literacko. Spod jego pióra zaczęły wychodzić oryginalne i zapożyczone z literatury obcej, głównie z E. Scribe'a, komedie wystawiane na wileńskiej scenie. Opublikował także w latach 1837-1842 cykl obrazków obyczajowych, którym nadawał formułę pamiętnika. Akcja ich rozgrywała się w końcu XVIII wieku na Wileńszczyźnie. Czerpał materiał z żywej jeszcze pamięci tamtych czasów w środowisku kresowym. Dziś jego twórczość jest zupełnie zapomniana. Pisarstwo jego było jednak ważnym ogniwem kształtującym historyczną powieść Kraszewskiego. Ale przede wszystkim oddziałał na swego siostrzeńca Ignacego Chodźkę.

W 1837 roku wraca do Wilna z zagranicznych podróży, w których towarzyszył Mickiewiczowi, Antoni Odyniec. Rychło dał się poznać ze swoich klerykałno-konserwatywnych poglądów i ugodowości wobec władz. Wyraz temu dał przyjmując redakcję urzędowego „Kuniera Wileńskiego”. Pogrążył się zaś w opinii młodych ostatecznie redagując hołdowniczą księgę na cześć cara, tak zwany „Album wileński” (1858 r.). Do jakiego stopnia był nielubiany, niech świadczy fakt, że jego dramat „Felicjda” został publicznie spalony przez studentów w Dorpacie.

W spalonym przez studentów dramacie „Felicjta”, pozytywna bohaterka utworu wypowiada następującą kwestię:

*„Kto kraj swój w Bogu ukochał, Bóg cudem
Żyć będzie przezeń między jego ludem.
I błogosławiąc dobrej jego chęci,
W pomoc mu zejdą Aniołowie święci.
Słowom i czynom jego, Boską władzą,
Nad ludźmi siłą Boskiej woli dadzą,
Aż na wzór jego stanie naród cały
W wieńcu wesela i cnotliwej chwały”.*

Na pewno był więc autor dramtu patriotą. Jak rozumiał swoje obowiązki patriotyczne — to sprawa inna.

Z przyczyn politycznych pisma literackie Odyńca były i są niedocenione. A szkoda. Jego dramaty „Felicjta”, „Izora” są dobrze zbudowane, nastrojowe, pisane ze znajomością sceny. Za dramat naprawdę dobry i wart wystawienia uważam jego „Barbarę Radziwiłłównę” wydaną w Wilnie w 1858 roku. Przedstawia bonaterkę w innym świetle niż dramat Felińskiego. Poglębia psychologicznie sylwetki i Barbary i Zygmunta Augusta. Dialogi są żywe i pełne emocjonalnego napięcia.

Nie pierwsza to i nie ostatnia niedoceniona karta naszej literatury.

Jeśli chodzi o popularność i sympatię to antytezą Odyńca był Tomasz Zan. W czasie procesu Filaretów wziął całą winę na siebie, ochraniając kolegów i nie dopuszczając do ujawnienia istnienia i celów Towarzystwa Filomatów. Ogólnie szanowany, był po powrocie do Wilna symbolem nieskalanej postawy moralnej. Dodatkowo sympatię jednała mu duża łatwość rymowania i pisania wierszy okolicznościowych. Mimo, że osiada w mająteczku Kochaczyn, utrzymuje żywe kontakty ze środowiskiem wileńskim. Niestety, znaczna część jego spuścizny zaginęła. Drukowano tylko jej ułamek: trochę wierszy, ballady, w których wykorzystuje pierwiastki kultury białoruskiej, fragmenty prozy wzorowane na twórczości Sterne’a.

Jan Czeczot także powrócił z zesłania w 1841 roku. Usiłował żyć z literatury, później przyjął obowiązki bibliotekarza w Szczorsach. Był autorem „Piosenek wieśniaczych z nad Niemna i Dźwiny”, które zapamiętałe zbierał przez całe życie. Wyszło ich aż 6 tomików. Pisał także zapomniane dziś liryki i ballady. Wywarł duży wpływ na zainteresowanie wileńską literaturą i pieśnią ludową. W świadomości dzisiejszej jest obecny anonimowo. Był bowiem autorem słów do niektórych pieśni Moniuszki. Między innymi do popularnej „Przaśniczki”.

Rówieśnikom Mickiewicza zawdzięczamy utrwalenie pierwiastków romantycznych w literaturze polskiej. A także informowanie społeczeństwa o życiu Adama, jego działalności. Byli też często kolporterami zakazanych na Litwie pism wieszczów. Dzięki ich pracy wytworzył się i utrwalił na Wileńszczyźnie trwający do dziś kult Mickiewicza.

Oprócz pierwszego pokolenia romantyków w życie literackie miasta włączyło się drugie pokolenie twórców. Miał to miejsce na przełomie 30 i 40 lat XIX wieku. Pokolenie to według badań Marii Janion, miało niższy poziom wykształcenia. Nie wywarło ono wpływu na literaturę światową tak jak to się stało z twórczością Mickiewicza i Słowackiego. Zarzucano mu niejednokrotnie, że transformowało tylko dążenie mieszczów i dostosowywało je do możliwości percepcyjnych szerokiego kręgu odbiorców. Zalicza się ich do krajowych romantyków, w odróżnieniu od emigracyjnych.

Oryginalnym talentem narracyjnym odznaczał się Ignacy Chodźko, który próbował początkowo sił jako poeta. Jednak prawdziwe jego zdolności objawiła gawęda „Domek mojego dziada” drukowana w „Wizurkach i Rozstrząsaniach Naukowych” w roku 1836. Zapoczątkowała ona cykl „Obrazów litewskich”, na które składają się drobne teksty prozatorskie i powieści, z których najwybitniejszą są „Pamiętniki kwestarsza”. Przypomniła ją w tym roku nasza telewizja przygotowując na jej podstawie spektakl teatralny. Udowodnił on, że tekst jest żywy, zajmujący a język barwny. Umiejętnie także charakteryzuje autor postacie, kreśli tło obyczajowe przedstawianych wydarzeń. Inspiracją dlań były rodzinne wspomnienia i zapamiętane z dzieciństwa obrazy. W sposób na owe czasy nowatorski łączy gawędę szlachecką z elementami powieści

historycznej: śmiało można go zestawić z Henrykiem Rzewuskim uchodzącym za mistrza gawędy szlacheckiej. Dodajmy, że swoje utwory Rzewuski zaczął pisywać pod wpływem Mickiewicza, z którym spotkał się w Rzymie. Wychodzić drukiem gawędy Rzewuskiego zaczęły zaś w Paryżu w 1839 roku, a więc później niż „Obrazy litewskie”.

Duży to plus dla Wilna.

Drugim prozaikiem, zdobywającym ostrogi pisarskie w Wilnie był Józef Ignacy Kraszewski. Studiował na tamtejszym uniwersytecie przed jego zamknięciem. Aresztowany za działalność konspiracyjną w grudniu 1830 roku przebywał później pod nadzorem policyjnym w mieście nad Wilią. Pierwsze jego opowiadania ukazały się w „Noworoczniku litewskim” w roku 1830. Był człowiekiem niezwykle aktywnym. Pisał artykuły o teatrze, redagował czasopismo, uprawiał krytykę literacką, rysował i malował. Małgorzata Stolzman pisze: „Wydawane kolejno książki w latach 1843-44 „Latarnia czarnoksiężska”, w roku 1846 „Pamiętnik nieznanego”, osadzone mocno w realiach miejscowych były dla Wilna wydarzeniem budzącym ferment, dyskusje i polemiki”.

Spod wileńskiej prasy drukarskiej wyszły też głośne do dziś, wchodzące w kanon szkolnych lektur, wiejskie powieści Kraszewskiego: „Ulana” i „Ostap Bondarczuk”. Druk „Powieści bez tytułu” według opinii K. Kirkora, narobił w mieście i całym regionie wiele wrzawy, ale i uznania dla autora. Żadna też książka nie wzbudziła tyle narzekań na smutne rozwiązanie losów głównych bohaterów. Bezspornym osiągnięciem autora „Ulany” było zyskanie poczytności u szerokiego kręgu czytelników. Powieści jego można było spotkać, jak pisze Buszczyński w 1858 r., „we wszystkich domach, gdzie tylko czytać umieją, od najniższej lizby pracującego na chleb szlachcica, do wystawnego pałacu magnata. Po trudach codziennej pracy przy kaganka świetle, czeladka ubogiego sługi z rozkoszą i pożytkiem czyta jego utwory; po przesycie zbytkowych uciech, na miękkiej sofie, przy bladym blasku lampy, rodzina możnego pana, ze złorzeczeniem na ustach, ziewa pod jego pismami, ale znają go wszyscy, ale go muszą znać wszyscy, bo nie znać Kraszewskiego to wstyd, to — oczu podnieść nie można. Większa to zaiste zasługa niż sława najznakomitszego literata”.

Epitet najznakomitszy jest na razie na wyrost. Ale osiągnie tę pozycję Kraszewski po opublikowaniu, już poza Wilnem, dwu powieści „Dziecię Starego Miasta” (o roku 1861 w Warszawie) i „Moskal” obie wydane pod pseudonimem Bolesławity. Od tego momentu, już nie tylko dla Wilna, ale dla całej Polski stanie się autor „Latarni” najwybitniejszym pisarzem i powszechnie uznanym autorytetem. Zajmie w drugiej połowie XIX wieku tę pozycję, którą w jego pierwszej części zajmował Adam Mickiewicz dzięki „Dziadom” i „Panu Tadeuszowi”.

Obaj wyszli z jednej uczelni, jedno ukształtowało ich miasto.

Gwoli ścisłości dodać należy, że także pierwsza historyczna powieść tego autora ukazała się w Wilnie. Pisał też Kraszewski wiersze, podjął próbę stworzenia litewskiej epeji narracyjnej w 3 częściach. Do jej części pierwszej pt: „Witolorauda” muzykę skomponował Stanisław Moniuszko.

Równie głośno w Wilnie rozprawiano o Ludwiku Kondratowiczu drukującym pod pseudonimem Władysław Syrokomla. Ceniono twórczość poety; część jego wierszy krążyła nawet konspiracyjnie w ręcznych odpisach. Ganiono go zaś za tryb życia. Skandalem były jego pijatyki i romans z Heleną Majewską-Kirkorową, który na dodatek w sposób aluzyjny opisał w powieści, przede wszystkim jednak był poetą lirycznym, nawiązującym w wielu utworach do poezji ludowej. Liczne utwory dru-

kował w czasopiśmie. Pierwszy zbiór wyszedł w 1853 roku pod tytułem „Gawędy i rytmy ulotne”. W 1854 roku wyszła jego gawęda szlachecka „Urodzony Jan Dęboróg” opisująca los zagrodowego szlachcica szukającego lepszego losu; mógł go osiągnąć rezygnując ze swobody i dumy. Powraca więc na ojcowiznę. Później wyszły następne gawędy „Z pól nadniemeńskich”, „Kęs chleba”, „Kapral Terefera i Kapitan Szerpentyńca”, „Janko Cmentarnik”. Był także autorem żywo przyjętego w Wilnie poematu historycznego „Margier”, podejmującego podobne zagadnienia z dziejów Litwy, co „Konrad Wallenrod” Mickiewicza. Próbował sił w dramacie, ale bez specjalnych sukcesów. Twórczość jego cieszyła się dużym uznaniem także na ziemiach zaboru austriackiego, pruskiego i w Królestwie Polskim. Do jego wierszy pisał Moniuszko muzykę. Syrokomla pisał też ulotne wiersze w języku białoruskim, który znał dobrze.

W Wilnie otaczał go krąg młodzieży o pewnych ambicjach literackich, z którymi rozmawiał o poezji, zamieszczał ich utwory w „Kurierze Wileńskim”, w którym prowadził przegląd literacki. Niewielu z nich mogło rozwijać swe zainteresowania i zdolności. Przeszkodą była sytuacja ekonomiczna, cenzura, obowiązki rodzinne. Na przychylną glebę na pewno więcej z nich by rozkwitło. Spośród nich wymienić chcę jednego, którego twórczość, choć szczupła, jest według mnie nader interesująca. Jest to Antoni Kolnakowski. Nazwiska jego próżno szukać w historii literatury polskiej czy w literackim przewodniku encyklopedycznym. Notują je tylko specjalistyczne bibliografie. Natomiast pieśni Moniuszki z jego słowami stanowią kanon edukacji muzycznej każdego śpiewaka. Poezja to melodyjna, prosta, wpadająca w ucho. Ale naprawdę ciekawe są jego wierszowane gawędy szlacheckie napisane w czasach przyjaźni z Syrokomlą, ale wydane dopiero w Suwałkach w 1873 r. Łączą one pierwiastek niesamowitości, historii i... humoru. Wyszły jednak zbyt późno, by znaleźć zwolenników w pozytywistycznym już świecie.

Ten pobieżny przegląd daje pierwsze wobrażenie o intelektualnej prężności miasta liczącego w okresie międzypowstaniowym od 35-45 tysięcy mieszkańców. Miasta, w którym największym zakładem przemysłowym była papiernia zatrudniająca 70 robotników. Miasta z szalejącą cenzurą, z dochodzącą do absurdu biurokracją i terrorem. Ale miasta, w którym spotykali się, żyli, rozmawiali i korespondowali ze sobą ludzie, którzy w życiu chcieli zrobić coś dla narodu, zostawić po sobie ślad w historii.

A przecież nie napisałem jeszcze o wielu sprawach: o próbach wydawania różnych periodyków, o roli magnackich i mieszczańskich salonów. O życiu muzycznym rozśpiewanego miasta. Bo Wilno było rozśpiewane. Brzmiała w nim filarecka piosenka, dzwoniła ludowa obscena, płakała dumka. W tym mieście rywalizowali ze sobą muzycy i kompozytorzy — Stanisław Moniuszko, Wiktor Każyński i Apolinary Kański; Kirkor zakładał się nawet, że wydany zbiór pieśni tego ostatniego zdobędzie większą popularność niż kompozytor „Halki”.

Nie sposób przecenić roli Wilna ani w początkach ani w połowie wieku. Bez tego, co tworzono w grodzie nad Wilią, nasza kultura byłaby ogromnie zubożona. Jest to poza tym przyk. ad, jak atmosfera środowiskowa wpływa na kształtowanie osobowości jednostki i na rozwój tego, co w człowieku najlepsze.

Barbara Noworolska

SPACER PO WILNIE

*Lubię spacer samotny. Bez celu...
Gdy mrok zapada błękitny
Gdy milkną ulice, skwery,
Gdy Wilno ogniami kwitnie.*

*Lubię spacer samotny, Bez celu...
Pragnę iść Zakątkiem Gotyckim,
ujrzeć Konrada Cełę,
Stojąc przy Bazylianów Bramie,
wspominam Wielkiego Wieszcza.*

*Myślę: „Gdyby teraz Adam do Wilna
trafil...”*

*Ujrzałby miasto kochane,
choć sercu i myślom tak bliskie,
jednak nieznane...*

*Czyż poznałby Moniuszko
gród swojej muzyki?
I Ludwik Kondratowicz
Długo by tu błdził...”*

*Lubię spacer po Wilnie,
bo kocham miasto swoje —
te stare kręte uliczki
i dzielnice nowe.*

1982

Alina Lassota



Z WILEŃSKIEJ PRYWATNOŚCI

Z dystansu lat, które coraz dotkliwej oddalają mnie od wyidealizowanego okresu dzieciństwa, upewniam się nieodwracalnie, iż wtedy właśnie rodziła się moja fascynacja magią Wileńszczyzny i słowa z nią związanego. Mrok rzeczywistych wieczorów w mieście nad Wartą nasuwa skojarzenia z wiszącym na ponemieckiej tapecie ryngrafie Matki Boskiej Ostrobramskiej, pocałunkiem matki w czoło, ramionami ojca, który z racji wieku mógł być dziadkiem i kołysanką, nieodmiennie kończąca się łzami:

*Wilija, naszych strumieni rodzica,
Dno ma zlociste i niebieskie lica,
Piękna Litwinka, co jej czerpa wody,
Czystsze ma serce, słiczniejsze jagody...*

To był tekst-klucz i dopiero na jakimś szczeblu szkoły niepojęte wyrazy: „lica”, „czerpa”, „jagody” uzyskały swoje właściwe znaczenie, kiedy przerabiając „Konrada Wallenroda” Adama Mickiewicza odkrywaliśmy „co poeta miał na myśli”. Ale wtedy dawno już nie było ojca, który jeszcze zdążył nasłuchać się pierwszych nieporadnych strof rytmującej dwunastolatki, lecz nigdy nie spełnił obietnicy objaśnienia statusu naszej rodziny, zupełnie — wtedy już — osamotnionej na Śląsku, o której mówiło się: repatrianci.

Potem był chaos. Dorastania i wyborów wartości. Takich jakie podsuwali ludzie zastępujący genetyczny, wychowawczy autorytet. Trafnych bądź niesłusznych, lecz nierozzerwalnie związanych z okaleczoną tożsamością. Pewnego dnia okazało się, że cały świat może zapaść się pod ziemię wraz ze spopielałymi ideami, byleby ocalała enklawa rodzicielskich tęsknot, Atlantyda korzeni, dotąd nieomal namacalna w geograficznej próżni. Toteż kiedy słowo stało się ciałem, a konsekwentne wojaże wyobraźni — dwugodzinnym „uwięzieniem” na wileńskim dworcu, wiedziałam na pewno: tamten obszar, tamci ludzie, tamte sprawy pozostaną azyblem spełnień, prywatności, symboliki patriotyzmu i rzeczy uniwersalnych wobec obcości ludzi i miast, wśród których ulokował mnie los. A przecież ten pierwszy obraz nie był zachęcający:

*Tranzyt Leningrad — Polska. Popołudnie w mieście
odległym na spojrzenie. Dwie godziny szansy.
Przewodniczka ekskursji bez zabaw w niuanse:
— Wszyscy siedzą na dworcu! Nigdzie stąd nie leżcie!*

*Kamień. Zgroza. Wśród dachów blisko aż boleśnie
słońce zapada w krzyże jak złota monstrancja.
Wieża kreśla na niebie ornament brabancki.
Gdyby jakiś argument. Albo kropla deszczu.*

*W dworcowej poczekalni zadymiony „barok”
z witrażami butelek w pijackich koszmarach. ,
Pasja według głupoty. Krajobrazy nudy.*

*Estetyczne doznania dla przelotnych gości.
Wycieczka po peronach. W kąciaku czystości
miska z wodą i ręcznik z ornamentem brudu.*

I stało się, jeszcze w tym samym, 1974 roku. Wizerunek z zaśnieżonego rylografu — w pełnej urodzie, zawieszonej ponad ludzkimi dramata-
mi kaplicy Ostrobramskiej. Dotknięcie dłonią każdej z nakreślonych
opowieścią i wyobraźnią świątyni. Ulica Subocz i to niedopowiedziane
uczucie wruszającej dumy, że ta nazwa i własne nazwisko z metryki to
to samo. Pierwsza rozmowa z wujem Leonem Pylańskim w oczekiwaniu
na którego przyjazd na chrzciny, rodzice dochowali się mnie jako sześć-
cioletniej poganki. Wtedy właśnie ten dawny żołnierz polski, internowa-
ny w 1939 roku na Węgrzech, wydobył swoje własne wiersze, a wśród
nich najbardziej wruszający:

*W ubogiej lepiance przy świetle kaganka
Polacy się chlebem łamali.
Oplatkiem, łzą szczerą dzielili się z tymi
co w martwej ojczyźnie zostali.*

Spotkania na jakże polskim, wileńskim Zwierzyńcu, gdzie siostra
wuję Leona i mojej matki, Melania Ostrouch odkrywała wraz ze swoim
mężem Zygmuntem nieznanne karty rodowodu, rodzinnych powiązań ze
sławnym Stanisławem Bielikowiczem „Wincukiem” radiowym o któ-
rym przedtem nie wiedziałam nic, chociaż jedno z dziecięcych wakacji
spędziliśmy z nim właśnie nad jeziorem pod Mrągowem. Tutaj dowie-
działam się jak blisko moi krewni związani są z jedyną polskojęzyczną
gazetą w Wilnie — „Czerwonym Sztandarem” (obecnie „Kurier Wileń-
ski”). Nie dlatego, że czerwony, lecz dlatego — że polski. Dopiero po
kilku latach, w innej rozmowie owdowiała ciotka Nela, która po mężu
przejęła administracyjny etat w gazecie, opowiedziała o swojej znajomo-
ści ze Sławomirem Worotyńskim — tragicznym poetą Wilna, o którym
pragnęłam wiedzieć jak najwięcej, bo po Miłoszu, Hulewiczu, Iłakowi-
czówniej wydawał się najbardziej wileński.

Przedziwne meandry zdarzeń pozwoliły mi na okazjonalne spotkania z
wileńskimi twórcami: żeby mieć sposobność mieścić się w centralnym
kręgu twórczych kontaktów, trzeba prawdopodobnie zasłużyć. Ja się nie
mieszczę. Stąd ulotność spotkań, rozmów, własne próby odnajdywania
drożnych kanałów, wynikające nie z koniunktury, a potrzeby serca.
Pierwsze, przypadkowe spotkanie z Henrykiem Mażulem w Kownie pod-
czas Wiosny Poezji (Poezijos Pavasaris) A.D. 1988. Wieczór poezji Ali-
cji Rybałko i Leokadii Komaiszko dla nielicznego grona białostockich
twórców. Dodatek Literacki w „Kontrastach”, gdzie umieściłam rozmowę
z Eugeniuszem Kurzawą o „Zachłyśniętych polszczyzną” oraz w cyklu
„Głos z Litwy” — ich wiersze: Leokadii, Alicji, Henryka, proza poety
Romualda Mieczkowskiego — redaktora naczelnego „Znad Wili”, strofy
Marii Lotockiej, Wojciecha Piotrowicza, Aleksandra Sokołowskiego, Jó-
zefa Szostakowskiego, Aliny Lassoty — członkini zespołu „Wilia”. Je-
sienią 1990 roku Alicja Lassota podarowała mi w „Kurierze Wileńskim”
nieomal ciepły tom poezji Worotyńskiego. A dzień wcześniej...

Październikowy zmierzch dopadł nas przy rozmowie w pokoju redakcyjnym „Kuriera Wileńskiego”, na jednym z podniebnych pięter. Wizyta moja tu nie po raz pierwszy. Rozmowa — nigdy takiej nie było. Między nami na biurku książka w okładce jak niedoświetlone zdjęcie. Bieli czerń. Życie książki — nieobecność człowieka. Odejście poety — odkrycie twórczości. Ironia losu — w tym geograficznie miejscu, w Wilnie — głębsza niż gdziekolwiek. „Zawrotny” nakład: 700 egzemplarzy. Ale jest. Jeden z nich mój rozmówca, Henryk Mażul opatruje dedykacją: „...z wileńską serdecznością...” To dedykacja cenna, autorska. Pan Henryk zażenowany broni się przed uznaniem: — „Jakiż tu mój wkład”.

„Kontrasty i analogie” to pierwszy i pośmiertny tom poezji Sławomira Worotyńskiego. Pierwszy w 45-leciu powojennej, litewskiej Wileńszczyzny zbiór poezji polskiej jednego autora. Wybrał i wstępem opatrzył Henryk Mażul. Czyż to mały wkład? Słowa tytułu to także słowa-kłucze. O „Kontrastach” mówiłam. „Antologia” z niniejszym zdarzeniem nasuwa mi się w związku z wydaniem w KAW pośmiertnych „Wierszy ostatnich” Wiesława Kazaneckiego. Opracował i posłowiem opatrzył przyjaciel — Waldemar Smaszcz.

Przed laty polska krytyka zachłysnęła się jaskółką pt. „Sponad Wilii cichych fal”, pierwszym almanachem twórczości poetów o bardzo mieszczanym poziomie, ale wtedy nie o pożywkę dla recenzentów chodziło tylko o zjawisko. 600 lakierowanych książeczek — z rozwichrzonym białym piórem na kobaltowym tle — wypuściło wydawnictwo „Świesa” w Kownie. Teraz ten sam edytor, drukujący też polskie podręczniki, oddał hołd Worotyńskiemu, ostatniemu z almanachu, bo wtedy ustawiano autorów alfabetycznie.

„Sławomir Worotyński — największy poeta powojennego ...Wilna” pisał Zbigniew Żakiewicz w gdańskim „Autografie”. Poezja jego oczekuje na odkrycie i na pełne odczytanie w Polsce”. Do wielkości dorasta się po śmierci. Jak zwykle, jak to pod naszą szerokością geograficzną. Banał?

Na wyklejce „Kontrastów i analogii” tytułowy wiersz i jego negatyw:

*Martwym — cisza. Żywym — korytarz.
W jakich szeptach będziemy mieszkać?
Martwym — pamięć Żywym — nadzieja.
W jakich śniegach będziemy leżeć?
Martwym — cisza. Żywym — korytarz.
W jakich zmierzchach będziemy kwitnąć.*

.....

*I wypadnie z rąk naszych przestrzeń
do następców tych samych pytań*

Każde słowo Henryka Mażula w rozmowie i we wstępie do książki mówi o wielkiej przyjaźni. Poeta o poecie tak serdecznie. To rzadkość. „Doskonale pamiętam nasze pżegnanie na Dworcu Wileńskim przed odjazdem Sławka na stałe do Bielska-Białej. Jak każe zwyczaj mówiliśmy sobie „do zobaczenia”, a czułem się strasznie nieswojo. Tak, jakbym weszyl najgorsze. Ćwiczenie równowagi na ślizgawicy brzytwy, ujeżdżanie na oklep noża, zawrotny bieg życiem na skrótach musi mieć w końcu tragiczny finał. To jest tylko kwestia czasu”.

Jadąc na grób ojca, który już nigdy nie odzyskał swojej Wileńszczyzny, mogę wpaść do Bielska-Białej: to niewiele ponad pół godziny pociągami...

Rozmawiamy w październiku. Przed miesiącem, 22 września minęła siódma rocznica samobójczej śmierci poety. Henryk delikatnie omija prywatność tej trudnej biografii. Zakiewicz skumulował ją w kilku zdaniach: „Zabiła go samotność, niezrozumienie przez najbliższych oraz ten los, który można nazwać polskim fatalnym losem.



W Wilnie, w tym mieście ukochanym przez Muzy, Worotyński wciąż szukał swego miejsca: był ślusarzem, technikiem, zecerem, wreszcie gońcem w redakcji „Czerwonego Sztandaru”. Rzucił Instytut Pedagogiczny (jedyną w zasadzie uczelnię dostępną dla Polaków — przyp. K.K.), gdzie

usiłował sturdiować filologię rosyjską... Ostatnio „wojaczkował” w wileńskich knajpach. Tego nie znata tradycja starego literackiego Wilna, ale rzecz ta była nienowa w porewolucyjnej Rosji, stała się też codziennością w dzisiejszej Polsce. Stał niejako w rzędzie przeklętych poetów — Villona, Rimbauda, lecz takiego życia sobie nie wymyślił...

Dwa razy się żenił, pozostawił dorosłą już córkę i malutkiego syna. Druga miłość zawiodła go do Bielska-Białej i była to miłość tragiczna i ostatnia”.

Czy tylko ona? Czy „smuga cienia” poety nie zaczęła się znacznie wcześniej? Kiedy napisał ten czterowiersz:

*Patrzę na własny nagrobek.
Cudze lata. Nazwisko. Imię.
Kiedys bez nich nie mogłem się obejść.
jak bez płatków śnieżnych i zimy.*

Albo kiedy, jak zawsze w wielkim zmaganiu się z sensem słowa tworzył „Sedno wędnących liści”:

*...Zostaje płacić szczerym wierszem
za szept miłości nocą ciemną.
Zmęczona twarz nie zżółkła jeszcze.
O, czasie, zlituj się nade mną!...*

Nie musiał pisać wyłącznie do szuflady. Drukował w „Czerwonym Sztandarze” i w prasie warszawskiej: w „Radarze”, „Nowej Wsi”, „Przyrodzie Polskiej”. Jednakże jeżeli — do blokowanych przez wąskie elity, promujących tytułów — nie mogli przebić się latami poeci z polskiej prowincji, tym trudniej było wyjść na te łamy z grona ledwie pączkującej polskiej inteligencji w Wilnie. Poezja jako mniej komunikatywna od muzyki i malarstwa, miewała mecenasów stosunkowo rzadko, a historia literatury i mentalności polskiej pokazuje, że znacznie łatwiej o los Norwida, niż Miłosza...

Z teczki pt. „Thanatos” i z „wielkiej rozsypki poetyckiej spuścizny” Sławka poeta Henryk Mażul stworzył logiczny zbiór bolesnych przemyśleń pełnych Mickiewicza, muzycznych nokturnów, Tycjanów i Mozartów. W jakiś zaskakujący sposób pasują tu zagadki i bajki dla dzieci, mikro-opowiadania i aforyzmy oraz fragment powieści „Karolina Kowalska” — rzecz o kowieńskiej przyjaciółce twórcy „Dziadów”. Czy tylko w tamtej, wileńskiej rzeczywistości, czy też w każdej innej poeta może sprowadzić sens własnego życia do tego ostatecznego stwierdzenia: „Nie jestem potrzebny nikomu”... Coraz częściej wydaje mi się, że rozumiem...

Wsluchuję się w łagodny monolog poety-dziennikarza, Henryka Mażula. On wiedział, co Sławek chciał wyrazić. Ten Sławek, który w wiecznej, kraciastej kurtce przychodził przed laty do redakcji, nie do tej, gdzie jesienny, wieczorny wiatr podchodzi pod najwyższe piętra, lecz do przytulnych, zagraconych pomieszczeń przy ulicy Tیلto. Z pejzaży dawnych, przestrzennych, brał inspirację do swoich wileńskich zachwyceń i do tej miniatury, zatytułowanej „Ostatnia chwila grudnia”, którą, być może, pisał z myślą o córce:

*Szedł Sary Rok przez sady puste.
Zakwitną one tylko wiosną.
Gil na gałązce nagiej usiadł
i noworocznym jabłkiem został.*

20 stycznia, zawsze w niecałe trzy tygodnie od Nowego Roku Sławomir Worotyński obchodził swoje urodziny. Przyszedł na świat w roku 1942. 42 urodzin nie doczekał.

Czekam na redakcyjny samochód, który zawiezie mnie na przemysłowo-leśne peryferie kościelno-zamkowego Wilna, gdzie podadzą prozaiyczny makaron na kolację dla polskiej wycieczki. Z czekania rodzi się wspomnienie — ni stąd ni zowąd — wiersza Włodzimierza Wysockiego w tłumaczeniu Michała B. Jagielly, nosiciela jakże wileńskiego nazwiska; wiersza tak celnie trafiającego również w tragiczne zejście Sławka:

*...Wspórczuję wam, ofiary fatalnych dat i cyfr,
skazańcy nieszczęśliwi i ponurzy!
Przeciętny wiek ostatnio wzrósł,
i może w związku z tym
poeci będą mogli żyć dłużej...*



To mój wyjątkowy wileński epizod. Są też inne, mniej istotne. Są ludzie i znaki-symboli. Przed ostatnim Nowym Rokiem na moje redakcyjne biurko „sfrunął” prosto z Wilna tomik poezji z dedykacją, zatytułowany „Wileńskie liryki”. Do dzisiaj nie wiem, kto był umyślnym posłańcem od autora, Jana Kozicza, o którym wiem coraz więcej, chociaż dotąd nie spotkaliśmy się. Miałam właśnie dać do publikacji tekst, kiedy w Białymstoku zjawila się, jak latający Holender, wileńska fotoreporterka Bronisława Kondratowicz. — Nic nie drukuj! — zastopowała mnie. — Podrzucę ci jego zdjęcie z Wilna. Rzeczywiście, dni parę minęło i kolejną „okazją” dotarła fotografia Jana Kozicza, który pierwszy w Wilnie wydał swoją książeczkę poetycką własnym sumptem.

W podobny sposób powołał do życia swoje drugie „dziecko poetyckie”: tomik pt. „Przy kominku na Żelaznej Chatce”. Zapewne profesjonalne kryteria oceny nie ułatwiłyby tego podwójnego debiutu w zwartej postaci, jakkolwiek mój nieznamomy nadawca drukował już pojedyncze teksty na łamach „Kuriera Wileńskiego”, „Galwie”, w krakowskich „Wieściach” i bielsko-bialskiej „Kronice”. Nie od rzeczy jest profesja autora „pisanie po nocach, dla uspokojenia umęczonego codziennym trudem ducha”: podobnie jak w swoim czasie Sławomir Worotyński, również Jan Kozicz pracuje jako zecer. Pierwszy zbiorek wydał przy pomocy przyjaciół i rodziny, drugi, również „podrzucony” mi przez wileńską łączniczkę, wykonał zupełnie samodzielnie (redakcja, opracowanie graficzne i techniczne, korekta, projekt okładki i obwoluty, skład ręczny, druk i prace introligatorskie). Z sobie tylko wiadomych przyczyn wybrał mnie na adresatkę jednego z 250 egzemplarzy.

Cóż sama poezja? Urokliwy, niezmiernie prosty, kronikarski zapis fascynacji wielkością Wilna, tą przebrzmiałą, historyczno-literacką, ale także najdrobniejszym detalem architektonicznym. Wileńskie noce są dla autora antidotum na wszelką szarzyznę. W jednym z wierszy — ta szarzyzna, polityczno-socjalny dysonans w urodzie architektury tak boleśnie uderza wrażliwy umysł poety:

*Czy dożyjemy wiosny, czy coś się odmieni?
Jesień... smak goryczy... wciąż jesień
długie ponure cienie...*

Doprawdy, niełatwo o nutę optymizmu wobec realiów, dziejących się na tej pięknej, sentymentów pełnej, powracającej w snach, tragicznej ziemi Wileńskiej. Miniaturowe, osobiste wzruszenie: redakcja „Kurieria Wileńskiego” przeniesiona zimą 1991 roku na ulicę Subocz. Obok winiety — rysunek: patron Wilna, św. Krzysztof z dzieciątkiem przekraczający bramę Subocz, która przed wiekami sąsiadowała w miejskich murach z Ostrą Bramą, a po rozkazach carskich władz pozostała już tylko na rycinach Smuglewicza. Ten sam akcent graficzny, zdobiony przedwojenną okładkę książki Ruszczyca pt. „Wilno z przed stu lat”, widnieje też na — okładce wydanej w Białymstoku przez WDK antologii poetyckiej „Tobie Wilno”, pełnej miłości do tego fascynującego miasta — od Mickiewicza po nas, piszących współcześnie. Więc i w stopce redakcyjnej „Kuriera” adres z tą rodową ulicą. Więc prywatna satysfakcja, której tło, niestety — znowu głęboko tragiczne: redakcja wyprowadziła się z budynku prasy, kiedy 13 stycznia 1991 roku do miasta weszły czołgi a jednostki sowieckiego OMONU- wtargnęły do dziennikarskich pomieszczeń.

Nie wracać tam? Jeżeli tak, ostatnie z powstałych (bo tylko tam mogły powstać) wierszy pozostałyby ostateczne:

*A grobów wciąż przybywa. Już duszno pod ścianą.
Stawiałam tutaj znicze, teraz palę nowe.
I pod najcichszym krokiem, pod najlżejszym słowem
pęka coraz dotkliwiej ziemia obiecana.*

*A jeszcze noszę w sobie cmentarzysko złudzeń.
Mroczne krypty miłości. Nagrobki nadziei.
Kurhany rozczarowań do wzniosłych idei.
Betonowe grobowce wiernej wiary w ludzi.*

*Trwamy tak pośród mogił już wczoraj skazani.
Umarli. Konający. I ci co umrzemy
z tą jaskrawą pewnością wobec darów losu.*

*Moi w wileńskich mogił rodzinnej przystani
nieświadomi jak ptaki dokąd zmierza ziemia
— ta eliptyczna urna w meandrach kosmosu.*

Krystyna Konecka

GRODNO

*Bramo pamięci, która
przez wrota obcego kraju
przenikasz i w proch je obracasz
jak sen
prawdziwie trwając na straży
nieskończonego życia.*

*Przez ciebie przeszłość
jak przez Niemna próg niezdeptany
powraca.*

*O miasto otwarte, które
z obłokami się w rzece przeglądasz
i piaskiem nieprzysypanym
narodowego istnienia
w klepsydrze czasu tkwisz utwierdzone
krzyżami Franciszkanów, Bernardynów i Fary.*

*O miasto boleśnie bronione
świętego jelenia
krzyżem
wśród leśnych ostępów
beprawia.*

*O miasto polskich sejmów,
Grodno,
świadku baczący
dni chwały i noce upadku
Rzeczypospolitej wieczystej.*

Warszawa, kwiecień 1991

Elżbieta Feliksiak



STEREOTYP POLAKA I LITWINA

w obustronnych świadectwa literatury i życia

Ostatnie lata nagrodziły nas ożywionymi kontaktami z naszymi sąsiadami Litwinami. Oczywiście wiemy, że w historii wspólnego istnienia owe spotkania były często jedynie konfrontacją, próbą sił i interesów politycznych obu naszych narodów.

Ostatnie pięćdziesiąt lat jest dowodem trudu, z jakim podejmujemy wspólny dialog i nieśmiało otwieramy perspektywy przyszłych wzajemnych działań w Europie. Autentyczna i niczym już nie skrzepowana wolność ostatnich miesięcy — możliwa po moskiewskim puczu — wytwarza ową jakość sąsiedztwa, wyrażającą się często nieskrywaną niechęcią i nieufnością Litwinów w stosunku do Polaków z Wileńszczyzny i z kraju. Doświadczenia okresu przedwojennego, skomplikowana sytuacja międzynarodowa, rozbudzenie narodowych aspiracji, ale przede wszystkim utrwalone w świadomości zbiorowej negatywne wyobrażenia o sobie decydują o niemożności autentycznego zbliżenia między nami.

Sądzę, że właśnie stereotyp — ta statyczna jakość, będąca miarą postrzegania Polaka w oczach Litwina i na odwrót, nie poddająca się trzeźwiemu osądowi, ulepiona z garstki faktów, zdarzeń, jednostronnych sądów, poprzetykana emocjami, kontrowersyjną wiedzą o „narodowym charakterze” jest również dzisiaj autentyczną barierą hamującą dialog, poznanie i doświadczenie siebie na nowo.

A przecież żyjemy obok siebie. Niegdyś nasze kultury przenikały się, czego świadectwem jest dziś literatura i historia. Im bardziej wnikały w problematykę wzajemnych polsko-litewskich doświadczeń, tym głębsze stają się wątpliwości związane ze stereotypowym myśleniem o narodach. Dzieje się tak, że jednostkowe, często prywatne doświadczenia, zaprzeczają przyjętej przez zbiorowość wiedzy — jednak ta posiłkująca się stereotypem wiedza przywoływana jest najczęściej i cięży w momencie spotkania Polaka z Litwinem.

Czy my Polacy znamy współczesnego Litwina? — raczej jesteśmy skłonni sądzić, że nasze problemy są podobne. Chętnie przypatrujemy się naszej dawnej wspólnoty — trudniej godzimy się z emancypacją narodu litewskiego w XX w. A jednak Polska i Litwa, dawniej Korona i Wielkie Księstwo Litewskie — to w przeszłości dwa politycznie sprzymierzone narody, dwa państwa wspólnie dźwigające brzemie historii i geopolityki, tworzące społeczność chrześcijańską i europejską. Właśnie książę Witold i król Władysław urzeczywistnili przymierze tworząc Rzeczpospolitą mającą realny wpływ na polityczne zmiany między Wschodem a Zachodem. Wydawało się nam najczęściej, że z Litwinami stanowimy jedność, a zauważalna w historii odrębność chłopca litewskiego traktowana była przez nas jako zaledwie odrębność regionalna — nie narodowa.

Obszary dzisiejszej Litwy z jej pograniczami od dawna były nieje-

dnorodne, tworzyły mieszanę, bowiem tu przemieszały się i żyły w sąsiedztwie różne narody, o różnym stopniu samoświadomości. Krajobraz tej ziemi tworzyły wyspy kulturowe i etniczne, między którymi dochodziło do otwarcia się, do spotkania, wreszcie do przenikania i ewoluowania języka i zwyczajów. Wieś zamieszkała przez Litwinów i Białorusinów mówiła swoimi „prostymi” językami, a w dużych miastach — szczybiała się polskość. To współistnienie wielu narodów na jednym niewielkim obszarze do wybuchu I wojny stanowiło wielką wartość pogranicza, na którym przy otwarciu się kultur nie było być może potrzeby dramatycznego rozróżniania między „swoimi” a „obcym”.

Początek XX wieku, rodząca się emancypacja narodu litewskiego, wyłanianie się młodej warstwy inteligencji — przewodników duchowych Litwinów — przybiera ostre formy nacjonalistyczne. Właśnie nacjonalizm — jak się wydaje — stwarza stereotypy i sam im bardzo ulega.

Przyjrzyjmy się owemu stereotypowi, oraz inności i szczególności życia na pograniczu, przywołując tylko nieliczne, acz reprezentatywne sądy publicystów i pisarzy próbujących skonkretyzować kondycję człowieka tego obszaru oraz ocenić historię naszych obu narodów, by przybliżyć się do istoty omawianego problemu.

Z. Komorowski w artykule zatytułowanym: „Św. Kazimierz a stosunki polsko-litewskie” zastanawia się nad tym, co kulturowo nam jest wspólne, a co nas różni. Jest to ciekawa refleksja o historii i charakterze obu naszych narodów. Autor między innymi stwierdza: „...kultury, litewska i polska niewątpliwie pod wpływem wspólnej historii i wymiany — są rzeczywiście, poza językiem, bardzo sobie pokrewne. Ich podobieństwa są uderzające. Przede wszystkim niemal identyczny fundament kultury katolickiej, łacińskiej. Te same wartości etyczne — pojęcia tego co dobre, godne, sprawiedliwe. Mnóstwo całkowicie zbieżnych wzorców postępowania. Między innymi zbliżona inteligencja, ze wszystkimi jej zaletami i przywarami — choć u Litwinów niewątpliwie pozostało więcej autentycznej, statecznej gospodarskiej, ale i upartej chłopskości. Mniej zdają się nerwowi — choć to może cecha wszystkich mieszkańców północy, także i naszych Wielkopolan. U Polaków i Litwinów identyczne jest też przywiązanie do historii. U obu narodów historia jest świętością — żyje w sercach jako testament, i jako inspiracja. Towarzyszy jej zaś nieodłącznie poczucie odpowiedzialności dziejowej, przed zdarzeniami poza progiem chwili obecnej...

Polacy i Litwini mają ten sam nawyk działania w imię Boże — w pracy, w domu, w gromadzie — „Dopomóż Boże” — „Padele Dieve” mówiło się tu dawniej w tych samych okolicznościach i z równą powagą. Stąd charakterystyczne w obu narodach gromadzenie się wokół Kościoła i księży — tak łatwo zauważalne, między innymi na uchodźctwie.

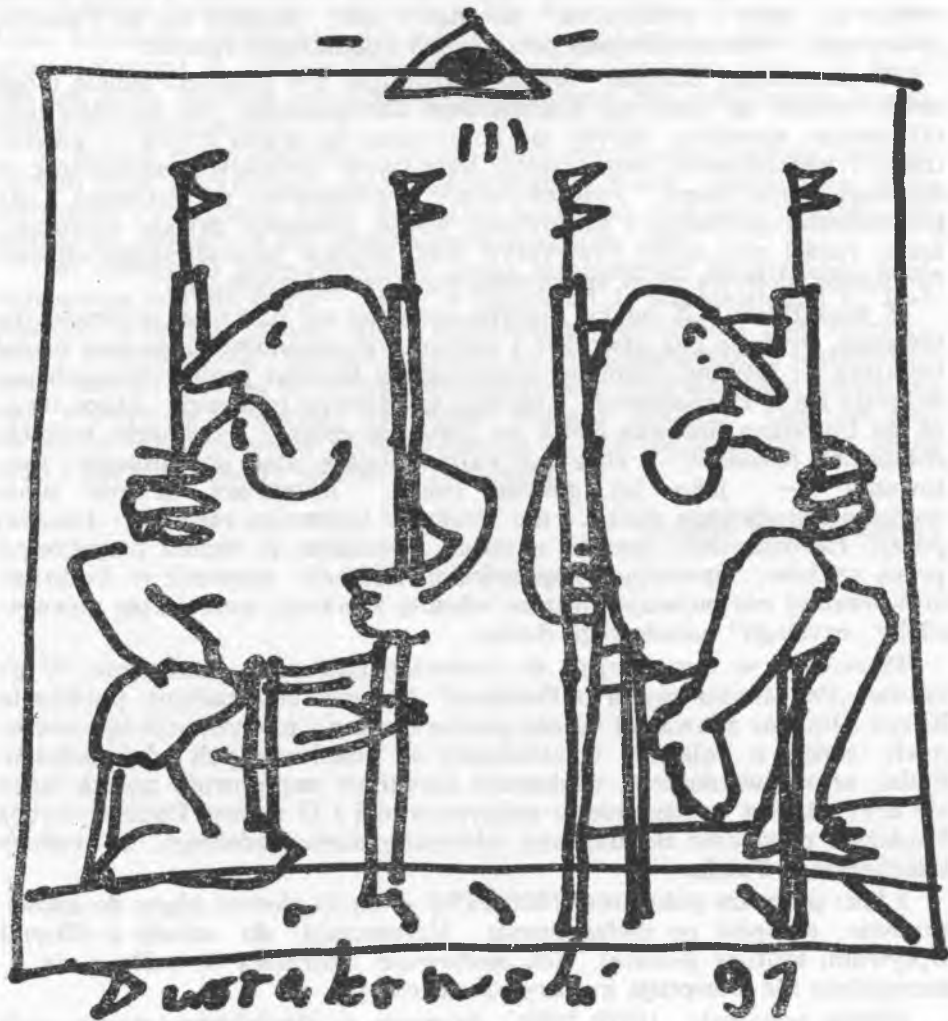
Litwinów i Polaków łączy ten sam sposób modlenia się — w domu i w kościele. Obchodzą te same święta i mają takie same zwyczaje świąteczne, łącznie z opłatkami, wieszczą wigilijną, święconem i zapaleniem świeczek na grobach w Wieczór Zaduszny.

Szydercy mają prawo drwić: tak sobie bliscy, a tak zwaśnieni. Jak dopuścili do tego wspólni patroni? Gdzie ich orędownictwo? Znaczący Pisma powiedzą — że „widać taka wola Boża”.

Oto ciągły problem tożsamości narodowej i pytania, kto jest Polakiem, a kto Litwinem w warunkach specyficznego pogranicza etnicznego, wielokulturowej tradycji, ciągle żywej przeszłości, wreszcie ciężarom ku państwowemu centrum z jednoczesną niemożnością wyznaczenia granicy. Czym może być polskość i litewskość na tak pojmanym płynnym pograniczu? Być może, iż najważniejsze staje się subiektywne odczucie i w jego

efekcie samookreślenie. Literatura pamiętnikarska obszaru pogranicza rozróżnia istnienie ojczyzny ideologicznej i tej węższej, wyrosłej ze wspólnoty historycznej, z polonizacji ale i z lituanizacji kultury kresowej. Świadomość ludzi pogranicza — na przykład Mickiewicza czy Miłozsa — dąży do zespolenia polskości z mieszaniną kulturowego bogactwa innych narodów. Wyrosły z takiej ziemi człowiek nazywał siebie krajowcem czy Litwinem w cudzysłowie.

Jak trudne są wybory tej natury świadczą znaczące fragmenty z Pamiętnika Wileńskiego: „Siedzieliśmy w kraju naszych pradziadów, Litwą



nazywaliśmy naszą ojczyznę, a siebie Litwinami. Tacy z nas byli Polacy, jak Anglicy z mówiących po angielsku mieszkańców Dublina.(...) Przybyśszów z Polski wśród nas było mało, więcej z Niemiec, ze Szkocji, czy Tatarów. Zazdrośnie strześliśmy swojej odrębności, jako że my to my, a oni to oni, i kiedy naszego Mickiewicza przezywali nieokrzesanym litewskim niedźwiedziem, sami uznawali tę naszą odrębność. Aż nastał

wiek XX i oznaczał koniec naszej ojczyzny. Jedni przyszli do nas i powiedzieli: — Jeśli jesteście Litwinami, to dlaczego zamiast mówić mową przodków mówicie po polsku? Albo zaczniecie mówić po litewsku, albo będziecie zdrajcami narodu. Drudzy przyszli do nas i powiedzieli — jeśli mówicie po polsku, to nie jesteście Litwinami i jeżeli za Litwinów będziecie się uważać, będziecie zdrajcami narodu”.

Ta inność człowieka pogranicza określającego siebie Litwinem zawiera się — zdaniem Miłosza — w kulcie odrębności, w wartościowaniu, iż Polska była „gorsza”, Wielkie Księstwo Litewskie „lepsze” — bo cóż poczęłaby bez litewskich królów, poetów, polityków? Polacy z tzw. centrum mieli opinię płytkich, niepoważnych i oszustów. Litwini siebie cenili za upór i wytrwałość. Niechęć z jaką odnosili się do Polaków „rdzennych” była na Kresach powszechna i dodatkowo różniła.

W „Rodzinnej Europie” Miłosz konstatuje: „W pewnym sensie mogą siebie uważać za typowego wschodniego Europejczyka. Jak się zdaje jego *diffrentia specifica* dałyby się sprowadzić do braku formy — zewnętrznej i wewnętrznej. Jego zalety: łączliwość umysłowa, namiętność w dyskusji, zmysł ironii, świeżość uczuć, wyobrażenia przestrzenna, czy geograficzna pochodzą z zasadniczej wady: pozostaje zawsze niedorośtkiem, rządzi nim nagły przwypływ albo odpływ wewnętrznego chaosu. Ale formę zdobywa się w społeczeństwach ustabilizowanych.”

Z początkiem XX wieku zaczyna rozwijać się literatura w języku litewskim. Próbuje ona stworzyć i utwalić w świadomości pewien model bohatera — Litwina. Swoistej tematycznej krytyki prób literackich podejmuje się J. Herbaczewski i określa ich główne tendencje. Autor uważa, że literatura litewska cierpi na „chorobę czeską” — chorobę małych, chłopskich narodów, — chce być najmodniejszą, stąd podrabianie i imitowanie — jako jej główna cecha. Literatura ta nie umie wyrażać narodowego ducha, nie wnika w tajemnicę rodzimej ludowej poezji. Herbaczewski zarzuca autorom litewskim, iż chcieli przeskoczyć pracę wieków, ignorując poprzedników, chcieli zaistnieć w kulturze uniwersalnej nie pojmując jeszcze własnej kondycji, poszukując pierwiastków „czystego” narodowego ducha.

Powróćmy w tym miejscu do rozważań nad istotą stereotypu. W artykule „Co Litwini myślą o Polakach” litewski emigracyjny publicysta Kazys Almenas zauważa i ocenia pewne zmiany i modyfikacje uproszczonych sądów o Polakach w zależności od pokoleniowych doświadczeń. Sądzi, że w świadomości większości Litwinów narodowość polska łączy się zbyt silnie z wydarzeniami politycznymi I i II wojny. Dopiero wybór Papieża i powstanie Solidarności odmieniły obraz pańskiego, wyniosłego szlacheckiego Polaka.

I tak: pierwsze pokolenie (1850-1870) — są to pierwsi idący do szkoły synowie chłopów po uwłaszczeniu. Uczęszczają do szkoły z silnymi wpływami kultury polskiej. Ich osobowość dojrzewa w walce z nią — szczególnie nie akceptują kultury szlacheckiej.

Drugie pokolenie (1870-1900) dojrzewa w atmosferze ostrych walk słownych. Idea odbudowy Rzeczypospolitej nie jest dla tych Litwinów marzeniem, staje się niebezpieczeństwem i kiedy przyjdzie właściwy moment, chwycą za broń. Stąd Polacy i Litwini nie zawsze byli „braćmi” — walczyli przeciw sobie. Almenas zauważa, że utrata Wilna to przegrana, bardzo bolesna i trudna do zapomnienia. Ten dramat spowodował wykluczenie jakichkolwiek wpływów kultury polskiej w wywalczonej Litwie Kowieńskiej.

Trzecie pokolenie (1899-1930) dojrzewało w intensywnie antypolskiej

atmosferze. Dla nich Polak był głównym wrogiem narodu — dokąd Wilno należało do Polski.

Współcześni Litwini — to znaczy synowie trzeciego pokolenia i ich dzieci, w pewnym stopniu przenoszą wspomnienia i doświadczenia przodków. Autor podkreśla, że wpływ na intensywność, owocność dialogu i modyfikację stereotypu ma świadomość ambiwalentności doświadczeń historycznych. Zazwyczaj spotkanie Polaka z Litwinem przebiega według pewnego schematu: „Nowo spotkany Polak reaguje przyjacielsko, a nawet entuzjastycznie, kiedy dowiaduje się, że jestem Litwinem. W jego oczach zbliża nas to, czyni prawie braćmi. Podkreślając owo zbliżenie wyklada łączące nas nici wspólnoty: Ile wspólnej historii! Jagiełło, Unia Lubelska, wprawdzie przegrane lecz godne szacunku powstanie wobec Rosjan! A weźmy Mickiewiczowskie „Ojczyzno moja...” „Wiąże nas tak dużo, kultura jest taka podobna, czemu nie moglibyśmy rzeczywiście się porozumieć?...”

W dalszej części rozważań Almenas próbuje objaśnić powody niechęci. Litwini chcą odczytywać inaczej ważne dla narodu historyczne mity, wszystkie wydarzenia, które pomagają Litwinom zachować odrębną tożsamość są „dobre”, te zaś, zespalające z Polską są „złe”.

Ów niezwykle skomplikowany obraz wzajemnych doświadczeń znajduje swoją konkretyzację i ocenę w książkach J. Mackiewicza i K. Podlaskiego. Wszelkie jednak próby uchwycenia i określenia tego co nazywamy świadomością narodu skazane są na schematyzm i statyczność. Nasze narody istnieją w procesie dynamicznym, uczą się siebie ponownie, choć z pełną świadomością wszelkiego rodzaju obciążeń. Ostatnie zdarzenia na Wileńszczyźnie są dowodem na to, jak długa droga jest już za nami i jak wiele mamy jeszcze do przebycia.

Violetta Wejs-Milewska



Z MOJEGO KALENDARZA

29 września 1991 r. minęło 10 lat mojego kierowania firmą pn. Wojewódzki Dom Kultury, a od kwietnia br. Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury.

29 września 1981 r. blisko 90-osobowa grupa pracowników upowszechniania kultury Białostocczyzny zdecydowała o moim wyborze na szefa firmy. Sądzę, że nie zostanę posądzony o zarozumiałość, jeśli przytoczę wyniki głosowania: 64 osoby były za; 18 wstrzymało się od głosu i 4 były przeciw. Protokół zachowałem na pamiątkę, jako znaczący dowód we własnym życiorysie.

Po wyborach perturbacja z ówczesnym wojewodą, który nie znając sprawy (był na urlopie) poprosił mnie do siebie, aby ustalić kandydatów na stanowisko dyrektora WDK. Z miarodajnych źródeł dowiedziałem się, że wojewoda nie widział mnie na tym „stołku”. Skoro jednak wyboru dokonała większość, uszanował ten fakt i nominację podpisał.

I tak 1 października 1981 r. przejąłem oficjalnie ster WDK, z 70-osobową załogą na pokładzie. Przez miniony okres wydarzyło się tyle dziwnych sytuacji, że warto o niektórych wspomnieć.

Trzy związki:

Jesienią 1981 r. w firmie funkcjonowały: Związek Zawodowy Pracowników Kultury i Sztuki, „Solidarność” i branżowy poligrafii. Był to czas strajków i niezadowolenia społecznego z rządów komunistycznych. Centralne związki ustalały określone zadania i akcje protestacyjne dla swoich członków. Były to przeważnie strajki i tzw. przerwy w pracy.

W naszej firmie akcje protestacyjne miały nieraz posmak humorystyczny. W czasie 2-godzinnej przerwy w pracy zarządzanej przez „Solidarność” nie funkcjonowała centrala telefoniczna, gdyż obsługiwała ją Ania spod znaku „S”. Pozostali pracownicy z innych związków lub niezrzeszeni, wykonywali swoje obowiązki normalnie, porozumiewając się

w sprawach służbowych poprzez łączników. Karuzela strajków trwała aż do 13 grudnia 1981 r. Niejednokrotnie musiałem negocjować decyzje służbowe z trzema związkami, godzić strony i reagować na permanentnie zmieniające się sytuacje. Było trudno, ale ciekawie. Incydentów nie zanotowano.

Wachty w stanie wojennym

Po ogłoszeniu 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego, całkowicie wyłączono z produkcji Zakład Poligrafii. Obiekt w Sobolewie został opieczętowany i zaplombowany. Załogę poligrafii musiałem zagospodarować na Kilińskiego 8. Największą atrakcją były dyżury nocne. Trzyosobowe grupy zamykały się w budynku, celem ochraniać firmy przed... no właśnie, do dzisiaj nie wiem, przed kim. Od 23-ej do 5 rano obowiązywała godzina milicyjna. W mieście krążyły liczne patrole ZOMO (do jednego z nich załapał się pan Janeczek). Podziemie zostało internowane, a naród wystraszony. Tym niejmniej wachty nocne obowiązywały. Bardzo chętnie, na ochotnika, zgłaszały się na nie zorganizowane grupy brydżowe. Grano w karty oficjalnie i na punkty. Brakowało tylko trunków, bo te były na kartki.

Wyjazdowe czwartki

Był to mój autorski pomysł kontaktu z terenem. Celem merytorycznym było ożywienie działalności kulturalnej w gminach. Spośród wielu czwartków jeden szczególnie utkwił mi w pamięci.

„Upowszechniacze” z całego województwa wybrali na trasę ziemniaczaną, obsługiwaną przez „pośpiesznego”, czyli Włodka Zmarzlika. Znany z zaskakujących pomysłów, dyrektor Monieckiego Ośrodka Kultury zarządził na granicy poszczególnych gmin Zagłębia Ziemniaczanego rozpalanie ognisk. Trasa wiodła od Knyszyna poprzez Jaświły, Jesionówkę i Mońki z docelowym ogniskiem w podożynekowej wiacie w gminie Krypno. Rozpaleni do białości „czwartkowicze”, nasyceni ziemniaczanym dymem i... nie tylko, wrócili do Białegostoku tuż przed godziną milicyjną. Terenowi nie mieli szans powrotu do swoich miejscowości, więc zadomowili się u naszych wudekowców. Sergiusz Łukaszuk do dzisiaj wspomina znakomite przyjęcie u Mariana Jarosza.

Kontrole i oceny

Przeżywałem w czasie 10-lecia różnego rodzaju kontrole. W roku, bodajże, 1987, takich inspekcji naliczyłem 17-ście. Miałem okazję być oceniany i kontrolowany przez ekipy:

- z Ministerstwa Kultury i Sztuki
- Centralnego Ośrodka Metodyki Upowszechniania Kultury
- Wydziału Kultury i Sztuki UW
- Egzekutywę KW PZPR
- Komisję Kultury KW PZPR, WK ZSK, WK SD, ZW ZSMP, ZW ZMW
- Komisję Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej
- Inspektora Pracy
- Sanepidu
- Komendy Wojewódzkiej Straży Pożarnej
- NIK-u
- SB (opieka stała)
- Cenzury (opieka stała)

- Wydział Zatrudnienia UM
- ZOMO
- Komisarzy wojskowych
- IRCH-y

Najgroźniejsze w sposobie postępowania i jednocześnie najmniej kompetentne były ekipy Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej. Przeżyłem kompleksową kontrolę IRCH-y. Były to również wybitnie stresowe dla załogi dni, z humorystycznym jednakże finałem. W magazynie WDK inspektorzy IRCH-y znaleźli napoczętą półlitrowkę denaturatu. Używalismy go do mycia urządzeń poligraficznych. W protokole powizytacyjnym odnotowano fakt braku 1/4 denaturatu w półlitrowej butelce. W czasie podsumowania, na pytanie przewodniczącego grupy inspekcyjnej, co stało się z ćwiartką denaturatu — ówczesny kierownik działu administracyjnego Sylwester Ulanowski — stwierdził: „Wypiłem”.

PRL — ZSSR

W dobie, kiedy kulturą rządził kalendarz polityczny, akademie i rocznice organizowały poszczególne instytucje kultury. Na początku roku ustalono, która firma odpowiada za tzw. część artystyczną danej imprezy politycznej. Scenariusz musiał być oczywiście zatwierdzony przez cenzurę i właściwy Wydział KW PZPR.

Pamiętam, że przypadła nam w udziale obsługa akademii z okazji kolejnej rocznicy Układu Przyjaźni między Polską a Związkiem Radzieckim. Imprezę zaplanowano w Filharmonii Białostockiej. Sala filharmonii, sama w sobie, nie wymaga i nie stwarza możliwości do wymyślnej scenografii okazjonalnej. Uradziliśmy wspólnie, że jedynym elementem dekoracyjnym będzie napis: PRL — ZSRR i kolejny rok rocznicy układu. Stosowną planszę zawieszono nad estradą pod filharmonicznymi organami i czekano na odbiór polityczny. Trzeba w tym miejscu przypomnieć, że scenografię każdorazowo sprawdzał specjalny wysłannik z „białego domu”. W tym przypadku wysłannik uznał, że wszystko w porządku i spokojnie czekaliśmy na rozpoczęcie akademii.

Traf chciał, że na wszelki wypadek jeszcze raz spojrzełem na wiszącą planszę. Czytam, czytam... przecieram ze zdumieniem oczy i co widzę, zamiast napisu „PRL — ZSRR”, jest „PRL — ZSSR”. Co robić? Do rozpoczęcia akademii pozostało 30 minut. Zdejmujemy planszę i razem z plastykami staramy się usilnie z „S” stworzyć literę „R”. Nic z tego! Za późno! Podejmuję decyzję. Nie wiemy planszy. Akademia pójdzie bez motywu przewodniego. I poszła. Przemówienie sekretarza, potem wystąpienie ambasadora ZSRR. Odznaczenia i część artystyczna.

Pytanie, czy ktoś zauważył, że nie było „myśli przewodniej” z jakiej okazji ta akademia? Skoro nie chodziłem na spowiedź do „białego domu”, to... chyba nie.

Stopnie

W czasie „pontyfikatu” przydarzyło mi się otrzymać za kierowanie firmą dwie skrajne oceny: „Lepiej niż dobrze” — w komisyjnym przeglądzie kadry kierowniczej instytucji kultury, za czasów panowania wicewójewody Jerzego Wiktora Ślęzaka, oraz niedostateczną, za brak nadzoru merytorycznego nad siecią klubów „Rolnika”. Między innymi za wybite szyby w obiekcie kultury w Gąsówkach Skwarkach.

Tak czy inaczej: „Kultura jest moim życiem”

Kazimierz Maksymilian Derkowski

Ostatni numer „DYSKUSJI”

Pierwszy ukazał się w 1983 r.
W ciągu 9 lat wydano 27 numerów

poświęconych m.in.

- ŻYCIU LITERACKIEMU I TEATRALNEMU
NA BIAŁOSTOCCZYŻNIE
- WOJNIE POLSKO-BOLSZEWICKIEJ NA KRESACH
- 70 ROCZNICY ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI
- OKUPACJI SOWIECKIEJ NA BIAŁOSTOCCZYŻNIE
- BIAŁORUSINOM, TATAROM, UKRAIŃCOM
- POLAKOM NA KRESACH

Od roku 1992 Wojewódzki Ośrodek
Animacji Kultury w Białymstoku

WYDAWAĆ BĘDZIE MIESIĘCZNIK:

Białostocki Informator Kulturalny

Żegnamy czytelników „DYSKUSJI”

Witamy czytelników BIK-u

REDAKCJA

Rada programowa:

**KAZIMIERZ DERKOWSKI, KRZYSZTOF FILIPOW,
MIROSLAW GRYKA, ALI MIŚKIEWICZ**

Wydawca:

Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury w Białymstoku, ul. Kilińskiego 8.

Redaktor naczelny:

IWONA WĄSOWICZ-SZCZEPANIAK

Redaktor graficzny:

ANDRZEJ DWORAKOWSKI

Redaktor techniczny:

JERZY CHARYTONIUK

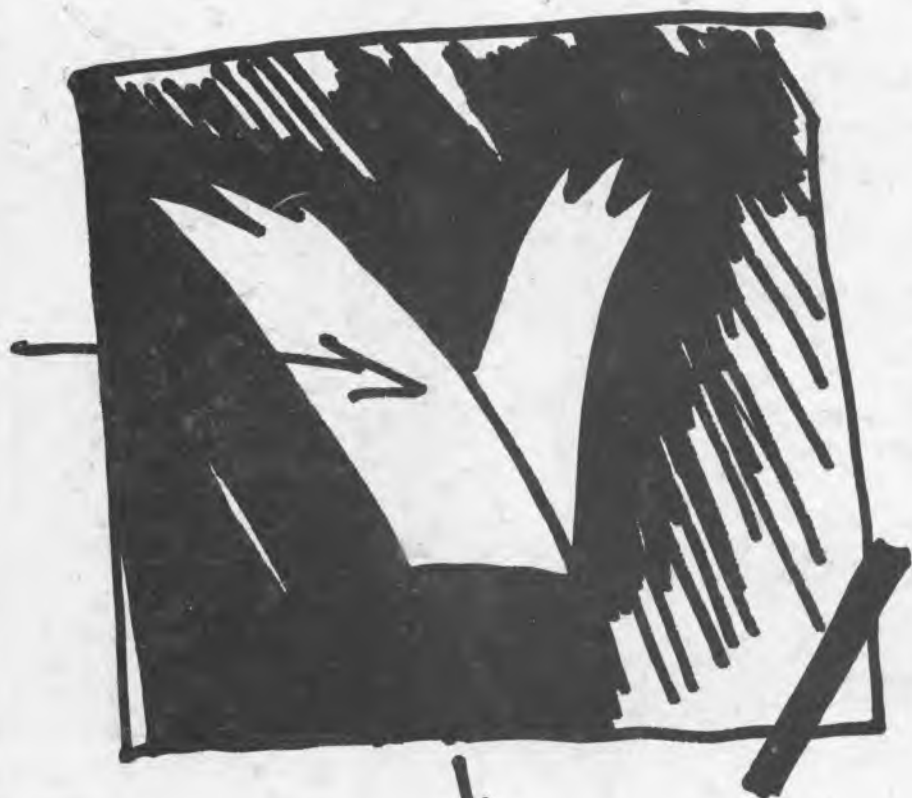
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów

1991 ↔ P P P



Dhoro Kowale

Palacy na Kresach : dalej...



PPPA

